



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicę: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: O Przysięgę p. W. W. — O odrodzeniu się narodowości serbo-łużyckiej w ostatnich latach 50-ciu I. p. L. Papieskiego. — Pieśń tryumfującej miłości (MDXLI) przez I. Turgeniewa (dokończenie). — W handelku. Pas si bête! p. Maryan Bohusz. — Psychologia w ekonomii politycznej. (Ideal ekonomiczny) p. I. K. — Kilka uwag o somnambulizmie. III. p. W. Kozłowski. — Piśmiennictwo polskie: J. Goldszmit, Dobroczyńca jakich mało p. S. Lusław, Straszne skutki zaniedbanego wychowania; Podzielona osada p. A. G. Księgi Podskarbińskie A. Pawłowski, p. W. Lira polska B. Lesman, p. P. Historia Literatury Powszechnej Jana Scherra, p. K. Historia filozofii materyalistycznej, F. A. Lange, p. S. — Z Galicyi p. Łada. — Liberum veto. — W perspektywie p. Asana. — Tydzień Polityczny. — List otwarty do szanownych członków Komitetu Redakcyjnego dzieł Jana Kochanowskiego p. Jana Karłowicza. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Z powodu zbliżającego się nowego roku, prosimy szan. abonentów o wczesne i, jeżeli można **bezpośrednie**, nadsyłanie przedpłaty według warunków w nagłówku **Prawdy** oznaczonych. Wtedy jedynie możemy żądaniom szybko i w porę zadośćuczynić.

O PRZYSIĘGĘ.

Znanym powszechnie jest głośny wypadek w parlamencie angielskim, w którym niejaki Bradlaugh odmówił złożenia przepisanej przysięgi religijnej, powołując się na prawa swobody swego sumienia. Podobny wypadek zdarzył się świeżo w Holandyi. Dr. Hartog Heys van Zouteveen, wybrany do rady miejskiej w Assen, założył tenże sam protest. Z obu stron — zachowawczej i wolnomyślniej — zagrzmiiała wrzawa, skutkiem której minister sprawiedliwości (liberalny) został zainterpelowany w Izbie. Odpowiedź jego sprawiła niespodziankę liberałom; minister bowiem oświadczył się za przysięgą religijną. W zapalonych przez ten fakt utarczках spór przeniósł się z pola parlamentarnego na literackie, gdzie wkrótce z pod pióra znanego adwokata amsterdamskiego I. A. Levego wystrzelił traktat p. t. *Anathema sit!* — *Een protest*. Ponieważ w tym proteście zniknął holenderski deputowany, a wystąpiła sprawa ogólnego znaczenia — więc posłuchajmy.

Bezwzględne usunięcie przysięgi jest, według Levego, koniecznem. Gwałci ona bowiem sumienie ludzkie, które musi się przeniewierzać sobie. Jeżeli zniesiśmy tortury cielesne, powinniśmy również zniesić moralne. Zresztą przysięga straciła nie tylko prawo, ale rację bytu. Używaną

jest ona jako probierz prawdomówstwa. Ale któż strzeże tego stróża? Nawet ze stanowiska religijnego nie powinniśmy zapominać o słowach Chrystusa: „wasze *tak*, jest *tak*, wasze *nie*, jest *nie*.” Odkładając na później dalsze reformy w tym względzie, natychmiast domaga się autor wprowadzenia zasady, pozostawiającej każdemu w Holandyi zupełną swobodę wykonania lub niewykonania przysięgi. Państwo — mówi on dalej — jest dziełem ludzkim, do ziemskiego celu przeznaczonem i do niego jedynie zdolnem. Nieszczęsne próby wytknięcia państwu wyższych przeznaczeń wywazały je zawsze z kolei. Usiłowanie to zrodzone z nierozsądku ludzkiego musi płodzić błędy. I nie tylko błędy, ale także żarliwość, sekciarstwo, fanatyzm, prześladowanie. Czyż historia nie roi się przykładami? Czyż własne nasze dzieje nie brzmiały okrzykami wojennymi walczących z sobą *in majorem Dei gloriam* teologów? „Przez szacunek więc dla pojęcia Boga i wyobrażenia o nim w jednostkach stronnictwo liberalne domaga się usunięcia przysięgi ze wszystkich dziedzin, oraz uwolnienia życia i zarządu państwa od wszelkich resztek klerykalnych. Tym sposobem stawia ono Boga po nad społeczeństwem i przyczynia się do prawdziwej dla niego cześci.” Przekonanie, każde przekonanie winno być uprawnione. Minister (holenderski) powiada: Usuniemy myślą z historii nauk osobistości religijne, zatraćmy Pytagorasa, Sokratesa, Platona, Arystotelesa, Kopernika, Keplera, Newtona, Leibniza — co nam pozostanie? Büchner ze swoją *Silą i materią*. Czy rzeczywiście? — pyta Levy. Czy wybierać możemy tylko między płytkim, czczym i ateistycznym materyalizmem i teologią? Czy po odjęciu wspomnianych mężów pozostanie nam wreszcie sam Büchner? A Kant? Kant, który był tem w filozofii,

czem Kopernik w astronomii, który rozproszył wszelkie brednie *pragnieniem Boga*? Kant, który z zacieklą nienawiścią prześladowany przez pokonanych a ślepych teologów, urągał ich „mędrkowaniu”? Czy może pan minister ma smutną odwagę tego reformatora świata, duchowego ojca filozofii natury i prawoznawstwa — napiętnować również jako ateistę? „Jedno tylko miejsce znajduję w dziełach Kanta, dotyczące przysięgi. Powiada on: „Środek wyrażenia prawd w oświadczeniach zewnętrznych, przysięga (*tortura spiritualis*) uważana jest nie tylko za dozwoloną przed sądem ludzkim, ale za nieodzowną — smutny dowód małego szacunku ludzi dla prawdy, nawet w świątyni sprawiedliwości publicznej, gdzie samo o niej pojęcie winno być już budziénajwiększe uszanowanie.” A więc uszanowanie idei sprawiedliwości, niewzruszone, głębokie i wszystkich przenikające poczucie obowiązku — oto jest zasada filozofii, która nie grozi piekłem i potępieniem oraz nie używa istoty najwyższej do usług ziemskich.

Tyle Levy.

Jak w sonecie Mickiewicza „polip, co spi on dnie, gdy się niebo chmurzy, a na ciszę długimi wywija ramiona,” podobnie i ta kwestya — czy ją podnosi Bradlaugh czy Heys van Zouteveen — zawdzięcza swój rozgłos „ciszy” morza politycznego. Spokojne jego fale pozwalają wydobywać się przeróżnym tworom, a nawet gdy tu i owdzie burza się zerwie, szybko milknie. Mimo zawichrzeń w Niemczech, wojny w Tunisie, rozruchów na półwyspie bałkańskim i jeżenia się Rumunii, w Europie panuje spokój. Wywabione jego ciepłem sprawy, w głębiach cywilizacji ukryte, ogólnie ludzkie, od podziałów politycznych niezależne, wypływają na wierzch i ściągają na siebie zmordowaną dyplomatycznymi sztukami uwagę ogólną. Taką sprawą

stała się, między innemi, kwestya przysięgi. Z tem zagadnieniem, prędzej czy później, spotkać się i rozwiązać je musi każdy naród. Jestto zastarzałe wiązadło życia, którego ominąć lub lekceważyć niepodobna. Nie podznaczamy go z naciskiem w naszych stosunkach, bo nie jest najpilniejszym, a tyle mamy jeszcze przejść innych, ważniejszych stopni dla dośnięcia innych narodów! Zresztą podobne kwestye mogą być jedynie przedmiotem naszego rozmyślenia teoretycznego. Naród wszakże, a raczej jego część oświecona, do której jedynie przemawiać zwykliśmy, winna uprzytomniać sobie pola, na których bój cywilizacyjny się toczy. Jednem z takich pól jest właśnie obowiązek przysięgi religijnej.

W. W.

O ODRODZENIU SIĘ NARODOWOŚCI

SERBO-LUŻYCKIEJ

w ostatnich latach 50-ciu*).

I.

Serbowie lużyccy, przez Niemców Wenden lub Sorben zwani, są pozostałością licznego niegdyś plemienia Słowian zachodnich — syrbów, zamieszkujących ziemie nadlabiańskie i graniczących podówczas z polskim plemieniem szlżanów na wschód, z Niemcami na zachód i z Czechami na południe.

Brak spójni politycznej pomiędzy pojedynczymi gminami i żupami i ciągle ważne plemienne otworzyły tam drogę panowaniu niemieckiemu, które, począwszy od Henryka Ptasznika (t. j. od w. X) coraz trwalsze zapuszczało korzenie. Wprawdzie na początku wieku XI zdobył ziemie serbo-lużyckie Bolesław Chrobry i na

mocy pokoju budyszyńskiego, z cesarzem niemieckim zawartego, wcielił je do swego państwa; lecz już Mieczysław II ziemie te utracił, a oddawszy je Dietrichowi, hrabiemu turyngskiemu, do szybkiej tam kolonizacji niemieckiej pośrednio się przyczynił. Od chwili owej wyższe stany niemieczą się, ziemia przechodzi na własność cudzoziemców, a przygnębiony poddaństwem lud lużycki traci zupełnie prawie samowiedzę narodową.

Oplakany stan ten najmniejszego obecnie ilościowo szczeplu słowiańskiego trwa przez wieki cale; aż wreszcie budzi się on z długiego uśpienia za czasów już naszych. Patrząc na odradzanie się pobratymczych münarodowości: czeskiej, chorwackiej, słoweńskiej i innych Słowian, pragnie, jak one, rozwijać się bardziej samodzielnie i wyłamać się z pod wiekowego jarzma szczyśliwych swych zdobywców.

Obecnie dzielią się serbowie lużyccy na górno i dolno-lużyccy; liczba ich wynosi 172.000: z tych 53.000 mieszka w Saksonii a 48.000 w pruskiej części Górnej Łużycy; resztę stanowią serbowie Dolnej Łużycy, w całości do Prus należącej¹⁾. Głośny pisarz niemiecki Ryszard Andree w broszurze swej o serbach lużyckich traktującej, (*Wendische Wanderstudien*, Lipsk 1868), mówi, że narodowość lużyccy „w śnie błądzi już jest pogrążona”. Później atoli zmienił on zdanie w tym względzie, twierdząc przy opisie sprawy językowej w Irlandyi, że milion przeszło używających w rozmowie własnego języka irlandczyków daleko prędzej go zarzuci, a natomiast angielski przyjmie, aniżeli nieliczący 200.000 lud lużycki będzie można zniemczyć. Winem zaś miejscu tenże Andree powiada, iż jest dla niego zupełną zagadką dotychczasowe trwanie przy narodowości swojej serbów lużyckich, których liczba nie tylko się nie zmniejsza, lecz przeciwnie, z rokiem niemal każdym wzrasta.

Dla częściowego wyjaśnienia tej zagadki zdaje nam się koniecznem powiedzieć nieco o tych czynnikach, które najbardziej przyczyniły się i przyczyniają do odrodzenia samowiedzy narodowej lużyccy t. j. o stowarzyszeniach naukowych, pismach periodycznych i o narodowym teatrze.

¹⁾ Religję wyznają po części protestancka (158,000) po części zaś katolicką (14,000).

Zanim jednak przystąpimy do rzeczy, postaramy się określić w kilku słowach powstanie stowarzyszeń studentów niemieckich, Burszenschaftami zwanych, których działalność pośrednio wpłynęła na ten szybki rozwój umysłowy lużyccy, jaki się teraz zauważyć daje.

Gdy naród niemiecki zdołał się otrząsnąć z poniżającej go gospodarki Napoleona, do której wzajemna niezgoda samych państw niemieckich, jak wiadomo, niemało się przyczyniła, wówczas to studująca młodzież niemiecka, na początku drugiego dziesiątka stulecia bieżącego, przyszła wreszcie do przekonania, iż ogólnoplemienną nienawiść, będącą podówczas oznaką plemiennego patryotyzmu, winna ustąpić miejsca miłości, a niemiecka jedność wyrugować partykularyzm. Tak więc owi młodzi patryoci, noszący nazwę „Burschenschaft”, „wszystkie plemiona niemieckie, jako też i religie przez nich wyznawane za równouprawnione uznali i starali się, o ile mogli, myśl tę praktycznie w stowarzyszeniach swych zastosować. Każdy z nich, kochając bardzo swoje szwabskie, bawarskie lub saskie plemię i będąc szczerze przywiązany do swej ścisłej ojczyzny i wiary, winien był szanować i cenić patryotyczne i religijne przekonania innych. Wszyscy razem działali wciąż na korzyść narodowej zgody i jedności, która miała kiedyś założyć podwaliny niemieckiemu cesarstwu. I w rzeczy samej, nie bacząc na prześladowania, jakie Burschenschaft przeważnie od rządu pruskiego uciepić musieli, słowa ich w r. 1848 ciałem się stawać zaczynały. Najwybitniejsi bowiem idei tej propagatorowie brali czynny udział w znanym parlamencie frankfurckim.

W owym to czasie działalności Burschenschaftów na uniwersytetach niemieckich przybył do Wrocławia (r. 1836) lużycczanin Jan Ernest Smoler w celu studyowania teologii na uniwersytecie tamiecznym. Przejęty dążeniami ówczesnych studentów wrocławskich: złączenia plemion jednego szczeplu — powziął on myśl ze studentów tam polaków, Czechów i lużyccy utworzyć naukowe towarzystwo słowiańskie, spójnie duchową na celu mające. Organizacyi atoli towarzystwa takiego rząd mu wzbroniał, w skutek czego musiał Smoler poprzestać na utworzeniu między

Pieśń tryumfującej miłości

(MDXLII)

przez

I. Turgeniewa.

(Dokończenie).

Ujrawszy duchownego, Fabiusz się trochę przestraszył; ale doświadczony starzec zgóry obmyślił sobie plan postępowania. Pozostawszy sam na sam z Fabiuszem, nie zdradził, rzecz prosta, tajemnicy spowiedzi, wszelako poradził mu oddalić, o ile to możebne, z domu zaproszonego przezeń gościa, który opowiadaniem swojemi, pieśniami i całem zachowaniem się rozstrajał wyobraźnię Waleryi. Zresztą, zdaniem starca, Mucyusz dawniej też, o ile pamięta, nie bardzo jakoś wierzył, a przebywszy tak długi czas w krajach, nieoświeconych promieniami chrześcijaństwa, mógł przenieść stamtąd zarazę fałszywych nauk, mógł nawet poznać tajemnice magii; to też, jakkolwiek przyjaźń dawna mogła rościć swoje pretensye, jednak roztropna ostrożność wskazywała niezbędną rozstania. Fabiusz najzupełniej się zgodził z szanownym mnichem, a Walerya odżyła nawet, gdy mąż zakomunikował jej radę spowie-

dnika. Obdarzony błogą podzięką obojga małżonków, zaopatrzony w bogate dary dla klasztoru i dla biednych, ojciec Lorenzo zabrał się do domu.

Fabiusz zamierzał natychmiast po wieczery rozmówić się z Mucyuszem, ale gdy nie powrócił na nią dziwny jego gość, Fabiusz postanowił odłożyć rozmowę z nim do dnia następnego — i małżonkowie udali się do swej sypialni.

Walerya szybko zasnęła; ale Fabiusz usnąć nie mógł. Wśród ciszy nocej żywej jakoś przedstawiał sobie wszystko, co widział i czego doznał; jeszcze natarczywiej zadawał sobie pytania, na które, jak dawniej, nie znajdował odpowiedzi. A może Mucyusz został czarnoksiężnikiem, a może też otrul Waleryę? Wszakże jest chora... ale na co? Opuściwszy głowę na rękę i powstrzymując oddech gorący, oddał się ponurym rozmyśleniom; tymczasem zaś księżyc znów wystąpił na pogodnie niebo, a z promieniami jego przez półprzezrozyste szyby od strony pawilonu — czy nie przywidziało się Fabiuszowi? — zaczął przenikać powiew, podobny do lekkiego, pachnącego prądu... Oto dochodzą go szepty namietne... i w tej samej chwili zauważył, że Walerya zaczyna się zlekka poruszać. Wstrząsnął się, patrzył: Walerya podnosi się, opuszcza naprzód z łóżka jedną nogę, następnie — drugą, i jak lunatyczka, martwa z utkwionemi przed siebie, zamglonemi oczami, wyciągnawszy ku przodowi ręce, zwraca się ku drzwiom ogrodu!

Fabiusz w oka mgnieniu poskoczył do drugich drzwi sypialni — i zrecznie okrzyknął: „Węgieł domu, zaparł drzwi, prowadzące do ogrodu... Zaledwie zdołał ująć zamek, poczuł wnet, że ktoś usiłuje otworzyć drzwi z wewnątrz, naciska je... jeszcze, jeszcze... następnie rozległy się jęki drzące...

„Ależ Mucyusz nie powrócił jeszcze z miasta,” pomyślał Fabiusz — i rzucił się ku pawilonowi...

Coś widzi.

Na spotkanie jego, po drodze oświeconej jasno blaskiem promieni księżycowych, idzie także jak lunatyk, także wyciągnawszy przed siebie ręce i rozwarłszy martwe oczy — idzie Mucyusz... Fabiusz podbiega ku niemu; ale on nie zauważywszy go, postępuje miarowo, krok za krokiem — i twarz jego nieruchoma śmieje się przy świetle księżyca, jak twarz malajczyka. Fabiusz chce go zawołać po imieniu... lecz w tejże chwili słyszy, jak po za nim, w domu brzęknęło okno... Ogląda się...

Rzeczywiście, okno sypialni rozstąpiło się od góry do dołu. Przełożywszy za ramię nogę, stoi w oknie Walerya... ręce jej, zda się, szukają Mucyusza... cała ona rwie się ku niemu.

Wściekłość niewypowiedziana napęliła pierś Fabiusza.

— Przeklęty czarodziej! — ryknął w szale, i schwywszy Mucyusza jedną ręką za gardło, drugą ujął kindżał, wiszący u jego pasa — i po samą rękę jego utopił ostrze w jego boku.

rodakami swymi towarzystwa dla badania języka i dziejów serbo-łużyckich. Tym sposobem dał on pobudkę do odrodzenia się ducha łużyckiego, o którym mówić zamierzamy.

Poprzednio jeszcze, będąc uczniem w gimnazjum budyszyńskim (od r. 1830 do 1836), jako 15-letni młodzieniec urządził u siebie dwa razy na tydzień zebrania gimnazjalnych kolegów w celu ćwiczenia się bądź ustnie, bądź też piśmiennie w mowie macierzyńskiej. To też z Wrocławia korespondował pilnie z pozostałymi w Budyszynie dawnymi kolegami swoimi, którzy idąc za myślą duchowego prowadzyciela swego, utworzyli stałe towarzystwo naukowe łużyckich gimnazystów w Budyszynie. Dotychczas jeszcze istnieje tam t. zw. „Societas Slavica“, założona przez Masaka Kłosopolskiego roku 1838 z inicjatywy Smolera. Celem towarzystwa tego jest nie tylko zaznajamianie się członków jego z mową rodowitą, lecz w miarę możliwości — badanie języków i cywilizacji wszystkich innych słowian.

Nie odbiegniemy od rzeczy, gdy przytoczymy wyjątek z listu Kłosopolskiego, pisanego roku już 1840 z uniwersytetu lipskiego do członków „Societas Slavica“, w którym nawołuje ich do poznawania języków słowiańskich w ogóle, polskiego zaś w szczególności. „Chciałbym, pisze, iżbyście język i literaturę polską szczególnie badali; język ten bowiem jest ze wszystkich innych słowiańskich najbardziej wykształcony i dźwięczny, literatura zaś polska obfituje w znakomite dzieła wszystkich gałęzi wiedzy i posiada tak genialnych poetów, jak Niemcewicz, Czajkowski, Słowacki, Mickiewicz i inni. Przytem nadmienię muszę, że nauczanie się języka polskiego nie będzie przedstawiało dla was wielkiej trudności“ (zob. *Łużican*, rok 1879, cisko 9).

Wkrótce też, w przejeździe przez Budyszyn, nawiedzać zaczęli towarzystwo liczni polscy (Aleks. Maciejowski), czescy, słoweńscy i rosyjscy pisarze, ofiarowując do biblioteki jego mnóstwo dzieł znakomych różnej treści, w różnych słowiańskich językach.

Z tych to dzieł dowiedzieli się dopiero młodzi łużyczanie, ku niemałemu zdziwieniu, że słowianie ilościowo przewyższają Niemców i że ziemię słowiańską, razem

wziętą, rozleglejszą są od całej germańskiej ojczyzny; poznali oni również, w jak bogatą obfitują słowianie literaturę, jak kwitnie u nich sztuka. Nie potrzebujemy też mówić, jak serdecznie witała inteligentna młodzież łużycka słowiańskich swych gości, którzy nie byli względem nich tak dumni i nieprzystępni, jak ich niemieccy światłodawcy, którzy nie naigrawali się z ich mowy rodzinnej, lecz przeciwnie, jako pobratymcom swoim bynajmniej nie skąpili rad i wskazówek do wykształcenia ich przez Niemców wyśmiewanego języka i do podniesienia ich narodowości. Wkrótce też przyszła młodzież do przekonania, iż narodowość swoją wówczas tylko przechować może, gdy się lepiej z innymi słowianami zapozna, zbrata i z nimi się duchowo połączy. Bacząc na to, w miejsce dotychczas używanej w książkach łużyckich pisowni niemieckiej, zalecił Smoler łacińską dla większego zbliżenia się umysłowego łużyczan do tych słowian, którzy pisowni tej używają. Członkowie obu towarzystw — wrocławskiego i budyszyńskiego, poparli myśl Smolera, obowiązując się tej tylko pisowni używać i w miarę możliwości ją rozpowszechniać. Nową pomoc dwa wspomniane towarzystwa uzyskały w założeniu przez łużyckich wychowawców budyszyńskiego seminarium nauczycieli protestanckich — stowarzyszenia pod nazwą: „Swoboda“. Założenie tej instytucji było niezmiernie dla łużyczan doniosłości; jej bowiem członkowie po ukończeniu swych studiów, jako nauczyciele ludowi, mieli najlepszą sposobność zaszczerpieć w ludzie łużyckim idee odrodzenia ducha narodowego i krzepić go tem przekonaniem, że aczkolwiek są oni dziećmi niewielkiego łużyckiego plemienia, niemniej przeto należą do ogromnej rodziny słowiańskiej.

I rzeczywiście duch narodowy na łużyczach, dzięki usiłowaniom szlachetnych tych patriotów, w krótkim czasie podniósł się ogromnie.

Grunt w narodzie był już tak dobrze przygotowany, że w roku 1842 można się już było odważyć na wydawanie tygodniowego czasopisma łużyckiego, które do dziś pod nazwą *Serbske Nowiny* liczy pokazałą stosunkowo ilość czytelników (do 3,000). Niebawem też powstały i inne, jak *Czasopis towarzystwa Młoty Serbskiej* (2 zeszyty rocznie) t. j. towarzystwa dla wydawania

książek tanich naukowej i beletrystycznej treści, założonego r. 1847, które od początku istnienia swego wydało przeszło 12,000 egzemplarzy różnych dzieł dla ludu. Następnie zaczęto wydawać pisma *Łużican* i *Serbski Hospodar*, dwutygodnik *Katholicki Posol* — i *Missionski Posol* (dla protestantów) — wszystkie redagowane przez członków wspomnianych towarzystw.

W roku 1847 w Pradze czeskiej między studentami teologii katolickiej na wszechchnicy tamecznej utworzone zostało stowarzyszenie p. n. „Serbowka“. Założycielem jej był student Jakób Buk, teraźniejszy proboszcz katedry drezdeńskiej, szanowany wielce spowiednik przez wszystkich w Dreźnie mieszkających Polaków. Proboszcz zaś budyszyński, Michał Hórnik, utworzył 1861 r. także towarzystwo literackie, dla wydawnictwa książek treści katolickiej p. n. „Towarzystwo Cyryla i Metodego“ w Budyszynie. Tegoż roku Imiś założył dla wydawania dzieł religijno-protestanckich „Luterske knižne Towarzystwo“. Praska „Serbowka“ zyskała wiele na wyborze miejsca swego założenia; istniejąc bowiem w mieście, gdzie idea słowiańska weszła, rzec można, w krew i kości czeskich jego mieszkańców — duchem się tym słowiańskim bardziej może, niż inne tego rodzaju towarzystwa łużyckie, przejęła.

W nowszych czasach zawiązało się jeszcze w katolickim seminarium nauczycielskim w Budyszynie stowarzyszenie literackie pod nazwą „Włada“ i także w protestanckim seminarium w miasteczku Lubiju (Löbau) p. n. „Zywa“. Nadmienimy jeszcze, że w r. 1849 zreformowanem zostało najstarsze towarzystwo łużyckich studentów protestanckiej teologii w Lipsku „Sorabia“ zwane, założone w roku jeszcze 1816. Zajmując się pierwotnie li tylko sprawami religijnymi, od r. 1849 zaczęło ono uwzględniać sprawy narodowe, czem zyskało większy wpływ na ludność łużycką. Wreszcie za inicjatywą p. Alfonsa Parczewskiego adwokata w Kaliszu utworzone zostało 31 marca r. 1880 z funduszu ofiarowanego łużyczanom przez Kraszewskiego, „Towarzystwo pomocy naukowej dla studujących serbów“, które, dzięki ofiarności ogółu naszego coraz więcej zyskuje wspierających je materyalnie członków.

Przeraźliwie krzyknął Mucyusz, i przycisnąwszy dłonią ranę, pobiegł, potykając się z powrotem do pawilonu... Ale w tej samej chwili, w której zadał mu cios Fabiusz, równie przeraźliwie krzyknęła Walerya i, jak ścięta z nóg, padła na ziemię.

Fabiusz rzucił się ku niej, podjął ją, poniosł na łóżko, przemówił do niej...

Długo leżała nieruchoma, ale otworzyła wreszcie oczy, westchnęła głęboko i weszło, jak człowiek tylko co wybawiony od śmierci niebytniej. Spojrzała męża — i objawszy szyję jego rękami, przytuliła się do jego piersi.

— „Ty, ty, to ty“ — szeptała. Pomalutku ręce jej się rozsunęły, głowa opadła się ku tyłowi — i wyszeptawszy z błogim uśmiechem: dzięki Bogu, wszystko się skończyło... ale, jakżem się zmęczyła — zasnęła snem mocnym, lecz ciężkim.

Fabiusz siadł u jej łóża — i nie spuszczaając wzroku z jej pobladej i wychudłej, ale już spokojnej twarzy, zaczął rozmyślać o tem, co zaszło... a także o tem, jak postąpić obecnie. Co przedsięwziąć? Jeżeli zabił Mucyusza — a przypomniawszy sobie, jak głęboko zapuścił ostrze kindżała, nie mógł o tem wątpić — jeżeli zabił Mucyusza — toć ukryć tego nie można! Należało donieść o tem księciu, sędziom... ale jak wyjaśnić, jak opowiedzieć sprawę tak niepojętą? On, Fabiusz, zabił u siebie, w domu, swego krewnego, najlepszego swego przyjaciela! Zaczyna pytać za co? z jakiej przyczyny?... Lecz jeżeli Mucyusz nie zabity? Fabiusz

nie mógł dłużej pozostawać w niepewności, i przekonawszy się, że Walerya spi, ostrożnie wstał z krzesła, wyszedł z domu i zwrócił się ku pawilonowi. Cisza zalegała go zupełna; w jednym tylko oknie widać było światło. Z zastygającym sercem otworzył on drzwi zewnętrzne (pozostały na nich ślady zakrwawionych palców i na piasku dróżki widać było krople krwi), przeszedł przez pierwszy, ciemny pokój... i zatrzymał się na progu zdziwiony i przerażony.

W pośrodku komnaty, na perskim dywanie, z poduszką złotolitą pod głową, nakryty szerokim, czerwonym szalem w pasy czarne, leżał z wyciągniętymi prosto członkami Mucyusz. Twarz jego, żółta jak wosk, z oczyma zamkniętymi, z zsiniałymi powiekami, zwrócona była ku sufity; nie można było zauważyć oddechu: wyglądał na trupa. W nogach jego, także owiniętych w szal czerwony, kłębał malajczyk. W lewej ręce trzymał gałązkę nieznanej rośliny, podobnej do paproci — i pochyliwszy się zlekka ku przodowi, uparczywie się wpatrywał w swego pana. Niewielka pochodnia, wetknięta w posadzkę, gorzała ogniem zielonym i jedna tylko oświecała izbę. Płomień nie migotał i nie wydawał dymu. Malajczyk nie ruszył się z miejsca, gdy wszedł Fabiusz; tylko rzucił nań wzrokiem i znowu utkwił go w Mucyusza. Od czasu do czasu podnosił i opuszczał gałązkę, potrząsał ją w powietrzu — a nieme jego wargi zwolna się otwierały i poruszały,

jak gdyby wymawiał słowa bez dźwięku. Między malajczykiem i Mucyuszem leżał na ziemi kindżał, którym Fabiusz powalił swego przyjaciela; malajczyk uderzył raz tą gałązką zakrwawione ostrze. Minęła chwila, minęła druga... Fabiusz zbliżył się do malajczyka i schyliwszy się do niego, zapytał półgłosem.

— Umarł?

— Malajczyk kiwnął głową w kierunku od góry do dołu, a wyswobodziwszy z pod szala swą rękę prawą, rozkazująco wskazał mu drzwi. Fabiusz chciał powtórzyć swe pytanie, lecz rozkazująca ręka ponowiła swój ruch i Fabiusz odszedł niezadowolony i zdziwiony, lecz posłuszny.

Waleryę zastał śpiącym przedtem ztwarzą jeszcze bardziej uspokojoną. Nie rozebrał się, przysiadł pod oknem, podparł się ręką i znów pograżył się w zadumie. Wschodzące słońce zastało go w tem samym miejscu. Walerya nie budziła się.

Fabiusz chciał się doczekać jej przebudzenia i pojechać do Ferrary, gdy w tem ktoś leciutko zastukał do drzwi sypialni. Fabiusz wyszedł i ujrzał przed sobą swego starego sługę, Antonia.

— Signor, przemówił starzec — malajczyk tylko co nam oświadczył, że signor Mucyusz zaniemógł i pragnie z wszystkimi pakunkami przenieść się do miasta; dla tego prosi pana, abyś mu dał do pomocy ludzi do zapakowania rzeczy, a później przysłał konie juczne i wierzchowe a także kilku strażników. Pan pozwala?

Wszystkie stowarzyszenia owe, o których mówiliśmy, utworzyły jeden związek, którym steruje wybieralny z pośród członków wszystkich kół prezes. Roku 1877 związek ów zaczął wydawać miesięczny swój organ p.t *LiPa Serbska*, czasopismo młodych serbów. Organ ten, ze względu na najinteligentniejszych współpracowników, możnaby nazwać szkołą przygotowawczą przyszłych pisarzy łużyckich; szczególnie przyczynia się on pełnymi młodzieńczego zapału artykułami do zajęcia się na Łużycach ruchem umysłowym ogólnie słowiańskim. Do roku 1880 wychodziła *LiPa* w litografowanych (z braku funduszy) miesięcznych zeszytach w Lipsku; obecnie tłoczy się ona w Budyshynie w drukarni Smolera, która założona w październiku roku 1875 świadczy literaturze łużyckiej znakomite usługi. Do r. bowiem 1875 zmuszeni byli łużycanie tłaczyć swe książki w zakładach niemieckich, za co płacąc bardzo drogo, rok cały wyczekiwali, zanim niemiecki drukarz znalazł czas na wydanie łużyckiej książki. To też w ciągu lat 1876—80 wyszło przeszło 30 książek i innych pism, z których niejedno bito w 6,000 egzemplarzy; w ciągu więc lat czterech wydano więcej druków, niż poprzednio w ciągu lat 15.

Kończąc krótkie to sprawozdanie o towarzystwach naukowych i pismach łużyckich, wypada nam jeszcze w kilku słowach zaznaczyć te peryodyczne zjazdy, które od r. 1847 urządzają w różnych miejscowościach Łużyce przewodniczący wszystkich towarzystw. Zjazd taki odbywa się corocznie podczas uniwersyteckich ferij letnich, za każdym jednak razem w innej miejscowości i trwa dni 3. Pierwszego dnia zbierają się prezesi oddzielnych towarzystw, z których każdy odczytuje sprawozdanie z czynności; poczem zostaje uchwalany porządek dzienny na walne zebranie członków dnia następnego.

Trzeciego dnia odbywają się odwiedziny tych miejscowości i okolic, które dla związku szczególnie położyły zasługi.

Posiedzenie dnia drugiego bywa uroczystością publiczną; oprócz bowiem członków, znajduje się na niem tylu uczestników, ilu ich miejsce zgromadzenia pomieścić zdoła. Zwykle przewodniczący podówczas całemu związkowi w krótkości objaśnia słuchaczów o działalności wszy-

stkich towarzystw, następnie zaczynają się rozprawy nad postawionemi dnia poprzedniego na porządku dziennym sprawami, poczem odbywa się wokalnie-instrumentalny koncert, również staraniem członków urządzony. W przerwach występują deputacje różnych okolic, do których członkowie wygłaszają patryotyczne mowy, podnoszące ich ducha. Uroczystość kończy się balem. Słuchacze koncertu i biesiadnicy płacą dowolną składkę na dochód towarzystwa pomocy naukowej.

Kosztów urządzenia tej uczty członkowie nie ponoszą żadnych, gdyż mieszkańcy okolicy, w której zjazd się odbywa, za szczęście sobie poczytują, gdy mogą sami gości podjąć, których ilość zwykle nie przewyższa liczby gospodarzy.

Jak dodatnio wpływają zjazdy takie na rozwój umysłowy ludu łużyckiego — o tem nadmieniam nie potrzebujemy. (D. n.)

L. Papieski.

W HANDELKU.

Siadaj hrabio! Powiadam ja tobie,
Takie czytam i słyszę androny,
Tak tem jestem zgryziony, zmartwiony,
Że, doprawdy, już nie wiem, co zrobić.
Sprowadziłem niedawno karetę;
Zapłaciłem — coś tak — dwa tysiące;
Dzisiaj — biorę do ręki gazetę...
Chryste panie! Kalumnie trują!
Jabieś gbur, zawadjaka — literat
Takie prawi mi za to morały,
Tak wyraźnie, że muszę — rad nie rad —
Wziąć do siebie ten paszkwil zuchwały.
No, i powiedz mi, hrabio, bez blagi,
Gdzie tu wstyd? Gdzie tu cześć dla siwizny?
Tego... chciałem powiedzieć: powagi...
Własne gniazdo!... Gdzie miłość ojczyzny?!

Koniec świata, mówię ci!... Ale, ale!
Przed tygodniem przychodził tu śmiało
Jacyś ludzie: „Może pan na szpitalu
Jakaś składkę dać łaskaw — choć małą?...“
Va sans dire — pokazuję im schody...
Na co dawać? Wszak jakoś to będzie!...
Dzisiaj z nudów, a trochę dla mody
Czytam... Znowu mentory i sędzie!
„Tak — powiada — nasz eny oportunizm

Zwykł się z wszelką ociągać robotą!...“
Jako panie? Że jakieś tam zwierzę
Chce w szpitalu zagoić swe blizny,
To już ja nie mam być na operze?...
A kult sztuki? A chluba ojczyzny?

Chciałem zjeść — idę tu. Jakaś baba
Przed drzwiami zachodzi mi drogę;
Coś tam plotła, że chora i słaba,
Słuchać jęków, rzecz prosta, nie mogę...
Wszedłem — zjadłem. Zaczynam pić porter...
Obey głos zwraca moją uwagę:
Słucham więc, aż tu jakiś reporter
O tej babie rozpusza już blagę!...
Jak to panie! Że licha poczwara
Przez próżniactwo ze czczośi gdzieś zdycha,
To już ja nie mam jadać homara,
Nie mam wypić portera do licha!
I co one myślą tu głowy?
I co to z ich będzie wściekizny?...
Więc cóż przemysł, co handel krajowy?
I gdzież miłość tej biednej ojczyzny?!

W moich dobrach mam kościół... Księżyna —
Zacny kapłan! — Pismaków tych chłosta...
Licho dało... coś... jakaś dziewczyna...
No, oszezerstwo wierutne — rzecz prosta!
Teraz biorę ten dziennik... Do katal
Już zwąchali! Już wiedzą! „Zgorszenie
To — powiada — niegodne pałata
I u wiernych obniża go w cenie...“
Wię już tak? Wię już niema religii?
Wię już cnoty nas uczyć wywłoki?
Mów, co chcesz; dość już mamy tej ligi.
Trzeba nam się jej pozbyć bez zwłoki...
Toć to istna, powiadam ci, kara!
Gdzież więc miłość dla ojców puszcziny,
Gdzie prababek, pradziadów gdzie wiara?
Nadewszystko — gdzież miłość ojczyzny?!

PASSI BÊTE!

Więc pan już wrócił z za granicy!...
I długoż tu zaszczycał nas?
A warto! W naszej okolicy
Zgoła niedobry teraz czas.
Rolnictwo, panie, podupadło,
Siły krajowe gdzieś — het, het!...
Na dłużej zostać by wypadło...
„O non, mon cher, non — pas si bête!...“

— Malajczyk ci to oświadczył? — zapytał Fabiusz. W jaki sposób? Przecie jest niemy.

— Oto, signor, papier, na którym wszystko to skreślił w naszym języku bardzo prawidłowo.

— A Mucyusz, twierdzisz, słaby?
— Tak, bardzo słaby i widzieć go nie można.

— Nie. Malajczyk nie pozwolił.
— I to napisał ci malajczyk?
— Tak jest.
— Fabiusz zamilkł.
— No, cóż — wydaj polecenia, wyjąkał wreszcie.

Antonio oddalił się.
Fabiusz ze zdziwieniem popatrzył za swym sługą. A więc niezabity? — pomyślał sobie... i nie wiedział, czy cieszyć się, czy smucić. Słaby? Ależ kilka godzin temu widział przecie trupa.

Fabiusz powrócił do Waleryi. Przebudziła się i podniosła głowę. Małżonkowie zamienili z sobą długie, znaczące spojrzenia.

— Już go niema? wyrzekła nagle Walerya.

Fabiusz wzdrygnął się.
— Jakże... niema? Czy ty... Odjechał? ciągnął dalej.

Fabiuszowi spadł ciężar z serca.
— Nie jeszcze; ale odjeżdża dziś.
— I nigdy więcej, nigdy go nie ujrzę?
— Nigdy.

— I sny te nie powtórzą się?
— Nie.

Walerya znowu westchnęła radośnie i błogi uśmiech znów pojawił się na jej wargach. Wyciągnęła do męża obie ręce.

— I nigdy nie będziemy mówili o nim, nigdy, słyszysz, mój miły? I nie wyjdę z pokoju, dopóki nie wyjedzie. A teraz przyslij mi sługi... poczekaj — weź tę rzecz!

Wskazała naszyjnik perłowy, leżący na stoliku nocnym, ofiarowany jej przez Mucyusza.

Rzucił go natychmiast do najgłębszej naszej studni. Obejmij mnie, jam twa Walerya — i nie przychodź do mnie, póki tamten nie wyjedzie.

Fabiusz wziął naszyjnik — perły, zdawało mu się, ściemniały — i spełnił polecenie swej żony. Potem zaczął waleśać się po ogrodzie, zdaleka spoglądając na pawilon, przed którym można już było spostrzedz zamęt przeprowadzki. Ludzie wynosili kufry, ładowali je na konie... ale malajczyka nie było między nimi. Nieprzeparte uczucie popychało Fabiusza do popatrzenia raz jeszcze na to, co się działo w pawilonie. Przypomniawszy sobie, że w tylnej jego ścianie znajdowały się drzwi tajemne, przez które można było przedostać się do komnaty, gdzie zrana leżał Mucyusz. Zakradł się pod nie, znalazł je niezamknięte i rozsunawszy ciężką kotarę, rzucił na pokój swój wzrok niepewny.

Mucyusz nie leżał już na dywanie. Odzia-

ny w szaty podróżne, siedział na fotelu, ale wydawał się trupem, jak za pierwszą bytnością Fabiusza. Głowa skamieniała opadła na poręcz krzesła i wyciągnięte, żółte, opuszczone ręce nieruchomie leżały na kolanach. Pierś nie ruszała się. Przy fotelu, na podłodze, zarzuconej zeschłą trawą, stało kilka płaskich filiżanek z ciemnym płynem, wydającym silną, niemal duszącą woń, woń piżma. Dokoła każdej filiżanki okręciła się, zrzadka połyskując złotemi oczkami, niewielka zmijka barwy miedzianej, a prost Mucyusza, w odległości dwu kroków, wznosiła się długa postać malajczyka, odzianego w jaskrawą, złotem przetkaną szatę, podpasaną ogonem tygrysim, z wysokim kapeluszem w rodzaju tyary na głowie. Ale nie stał nieruchomie; to ze cześć się kłaniał, jak gdyby się modlił, to znowu prostował się, wyciągał cały, unosił się nawet na palcach, miarowo i szeroko machał rękami, natarczywie je poruszał w kierunku Mucyusza i zdawało się, groził lub rozkazywał, chmurzył brwi i tupał nogami. Wszystkie te ruchy widocznie kosztowały go dużo trudu, zrzędały nawet cierpienia: oddychał ciężko, pot ciekł z jego twarzy. Nagle zamarł na miejscu i zacerpnawszy w pierś swą powietrza, zmarszczywszy czoło, wycężył i pociągnął ku sobie swe ściśnięte ręce, jak gdyby leżące w nich trzymał... i ku nieopisanemu przerażeniu Fabiusza, głowa Mucyusza z wolna oddzieliła się od poręczy krzesła i pociągnęła w ślad za rękami ma-

Rolnictwo hrabi snąć nie nęci,
Jest jednak masa innych dróg...
Hm, nawet miałem coś w pamięci...
Dzieło szlachetne — dalibóg!
Znam tu młodego literata —
Gdy hrabia chcesz, sprowadzę wnet;
Trza go zachęcić — młode lata...
„O non, mon cher, non — pas si bétel...”

Ha, bo to hrabia jesteś w górze;
Sądziłem — niższym rękę dasz,
Lecz nie rad pan literaturze...
To może wesprzesz handel nasz?
Przemyśl krajowy też w związku
Pewno by także zakwitł wnet,
Gdybyśmy się do obowiązków...
„O non, mon cher, non — pas si bétel...”

A ja bym zrobił to z rozkoszą —
Świadczyć się Bogiem... gdybym miał...
Ale!... słyszałem — hrabię proszą,
Byś imię twe na firmę dał.
O ile wiem, to nie z pożytkiem
Dla kraju ten interes szedł...
Zapewnie hrabia puścisz z kwitkiem...
„O non, mon cher, non — pas si bétel”
Maryan Bohusz.

PSYCHOLOGIA*)

w ekonomii politycznej.

(Ideał ekonomiczny).

Ponieważ ekonomia polityczna nie jest nauką, tylko konstatacją faktów, ale podającą krytykę rzeczywistości, więc według Tarde'a powinna posiadać ideał. Czy jest on możliwy do rzeczywistnienia, czy tylko pochwytliwy dla myśli? Aby odpowiedzieć na to pytanie, autor przedewszystkiem stara się oznaczyć stanowisko ekonomii politycznej w gronie innych nauk społecznych. Każda z nich odpowiada pewnej grupie stosunków. I tak: lingwistyka — mowa, polityka i prawodawstwo — węzła zależności państwowej i prawnej, strategia — potrzebie obrony lub napaści itd. W każdym szeregu tych stosunków wszelka nowość poczyną się od inicjatywy

jednostkowej, czyli wynalazku, a rozpowszechnia się drogą naśladownictwa. Oczywiście, że niemożliwą jest nauka wynalazków, ale tylko ich historia; mogłaby jednak powstać nauka o ich naśladowczym rozpowszechnianiu się, szybkim lub wolnym, zmiennym stosownie do klimatu rasy i wieku. Dążność wynalazków i użytecznych zdobyczy przemysłu do rozpowszechniania się w postępie rosnącym, geometrycznym, często tamowanym w swym pochodzie, jest tak pewną, jak dążność typów żyjących do rozpowszechniania się na mocy tego samego prawa. Pierwsza zasługuje na uwagę ekonomistów, druga — jest przedmiotem badań przyrodników. Można jednak opisać, ale trudno naukowo uporządkować szereg historyczny pomysłów religijnych, odkryć naukowych, wojskowych, administracyjnych. O zamkniętym przed dobą historii szeregu wynalazków, słów i form gramatycznych, niepodobna nawet dać opisowego pojęcia. Dopiero gdy religia jest uformowana, język urobiony i rozpowszechniony, gdy całokształt poznania przyjęty i zorganizowany, gdy suma zasad moralnych przeniknęła do dusz, itd. wtedy dopiero nastaje pora ukształtowania się teologii, gramatyki, całości nauk specjalnych, kursu moralności, dzieła prawnego itd. Podobnie, gdy pewna grupa różnych rodzajów przemysłu, które powstały oddzielnie w skutek szeregu odkryć przypadkowych, zacznie działać regularnie i rozpowszechniać swe różnorodne produkty w narodzie, wtedy nadchodzi pora pojawienia się umiejętności, nazwanej ekonomią polityczną.

Każda nauka jest logicznym uporządkowaniem wynalazków a raczej wyjaśnianiem, jak się one porządkują, jak mogą i powinny układać się logicznie. Teologia jest uporządkowaniem o tyle logicznym, o ile to być może, wierzeń religijnych w następstwie ich kształtowania się. Odnosi się to szczególnie do teologii chrześcijańskiej ojców kościoła, albowiem po nich nauka ta „pogrzebała się we własnym tryumfie.” Moralność jest uporządkowaniem logicznym rozmaitych obowiązków, często sprzecznych z sobą i nierównych co do jakości i stopnia, które ukształtowały się i rozpowszechniły. Pomijając inne określenia gałęzi wiedzy, zatrzymujemy się nad ekonomią polityczną, która, według Tarde'a, jest nauką dążącą

do wykazania: 1) jakim sposobem porządkuje się lub powinna się porządkować logicznie, odpowiednio do pewnego *maximum* użyteczności otrzymanej przez *minimum* pracy, wytwórczość rozmaitych bogactw, będących rezultatem naśladownictwa odkryć; 2) oraz, jak się mają ułożyć klasy społeczeństwa, które biorą udział w tej wytwórczości.

Ekonomia polityczna może być dwojaką: jedna, która uznaje porządek w faktach ekonomicznych, jako takich, druga, która go nie widzi i pragnie dopiero zaprowadzić; jedna prawomyślna, wyczekująca, która uważa współzawodnictwo handlowe i naturalny dobór przemysłowy jako drogę prowadzącą do ekonomicznego ideału; druga lecznicza, chirurgiczna, radykalna, która wyznaje konieczność poddania wszystkich produkcji i wszystkich warstw społecznych pewnemu reformatoryskiemu planowi.

Niewątpliwie dziwionoby się mężowi stanu, któryby puściwszy wodze rządu, zdał sprawy państwa na działanie pobudek wszystkich współobywateli, albo wodzowi, któryby oddał los bitwy usiłowaniom pojedynczych żołnierzy. Tymczasem ta teoria *laisser-faire*, stosowana do innych gałęzi wiedzy społecznej, nie dałaby tak niedorzecznych wyników. W gramatyce np. można stwierdzić, mówi Tarde, że bez akademii język francuski, zostawiony samodzielnosci instytutów indywidualnych, nie byłby mniej pięknym, mniej bogatym, a nawet mniej czystym. Czy ekonomie politycznej należy pod tym względem upodobnić do gramatyki, czy też do nauk poprzednich? Bezwątpienia do gramatyki, jeżeli będziemy sądzić kwestję czysto ekonomicznie. Tylko ze stanowiska politycznego można popierać organizację i kierownictwo pracy. Jeżeli ludzie jednego narodu chcą tylko wzajemnie sobie pomagać, nikt nie będzie wątpił, że każdy z nich jest najlepszym sędzią w wyborze środków dla osiągnięcia własnego celu. Jeżeli jednak w tym samym czasie przystępują oni zbiorowo do jakiegoś wielkiego przedsięwzięcia, czyż wtedy ich naczelnicy, obowiązani urzędywistnieć je, nie powinni uważać sił przemysłowych i handlowych narodu za narzędzia tego działania, a zatem przekształcić je odpowiednio wytkniętym zadaniom? Pytanie więc re-

*) Patrz nr. 48 *Prawdy*.

lajczyka. Malajczyk cofnął je — i głowa Mucyusza znowu ciężko opadła ku tyłowi; malajczyk powtórzył swoje ruchy — i ponowiła je za nimi posłuszna głowa. Ciemny płyn zawrzał w filiżankach, które zabrzęczały ciekawym dźwiękiem, a żmijki miedziane falisto się poruszyły dokoła każdej z nich. Wówczas malajczyk postąpił krok naprzód i wysoko podniósłszy brwi i otworzywszy najszerzej oczy, kiwnął głową na Mucyusza... Powieki trupa zadrżały, rozwarły się nierówno i ukazały się z pod nich ciemne, jak ołów, źrenice. Dumnym tryumfem i radością, radością niemal złośliwą, zajaśniała twarz malajczyka; szeroko otworzył swe wargi i z samej głębi jego krtani wyrwał się ryk przeciągły... Wargi Mucyusza także się rozwarły i słaby jęk zadrżał na nich w odpowiedzi na ten dźwięk nieludzki...

Ale Fabiusz już dłużej nie wytrzymał: zdawało mu się, że jest obecny na jakichś czartowskich zaklęciach! Także krzyknął i rzucił się, nie patrząc za siebie, ku domowi, czempredziej ku domowi, szepejąc pacierze i żegnając się.

W trzy godziny potem, Antonio przybył do niego z doniesieniem, że wszystko w pogotowiu, wszystkie poduszki ułożone i signor Mucyusz wyrusza w drogę. Nie odpowiadziawszy ani słowa swemu słudze, Fabiusz wyszedł na taras, z którego widać było pawilon. Kilka koni stało przed nim; pod samo skrzydło podprowadzono olbrzymiego karego ogiera z szerokim siodłem,

przygotowanym dla dwu jeźdźców. Tuż obok stała służba z obnażonymi głowami i straż uzbrojona. Drzwi pawilonu się otworzyły i podtrzymywany przez malajczyka, znowu odzianego w zwykłe szaty, ukazał się Mucyusz. Twarz jego była trupia i ręce obwisłe jak u trupa, ale przebiegał... tak, przebiegał nogami i posadzony na konia trzymał się prosto i omaczkiem znalazł lejce. Malajczyk włożył mu nogi w strzemiona, wskoczył za nim na siodło, objął ręką, i cały orszak ruszył. Konie szły stępą, a gdy zawróciły przed domem, Fabiuszowi zdało się, że na ciemnej twarzy Mucyusza błysnęły dwie białe plamki... Ażaliż ku niemu zwrócił swe źrenice? Tylko malajczyk mu się uklonił... ironicznie, podług zwyczaju.

Czy widziała wszystko to Walerya? Żaluzje w jej oknach były spuszczone... ale być może, stała po za niemi.

Na obiad przysłała do jadalni, bardzo była spokojna i łagodna; jednakże wciąż jeszcze skarżyła się na zmęczenie. Ale ani trwogi już w niej znać nie było, ani dawnego ciągłego znużenia i tajnej obawy; a kiedy nazajutrz po wyjeździe Mucyusza, Fabiusz znowu się wziął do portretu, znalazł w jej rysach ten czysty wyraz, którego chwilowe przyćmienie tak go zasmuciło... i pędzel pobiegł po płótnie lekko i pewno.

Małżonkowie odżyli dawnym życiem. Mucyusz znikł dla nich, jak gdyby go nigdy nie było. Fabiusz i Walerya, oboje

jak gdyby umówili się nie wspomnieć o nim ani słówkiem, nie dowiadywać się o dalsze jego losy; zresztą zostały one dla wszystkich tajemnicą. Mucyusz rzeczywiście znikł, jak gdyby zapadł się pod ziemię. Razu pewnego zdawało się Fabiuszowi, że winien był opowiedzieć Waleryi, co mianowicie zaszło w tę noc fatalną... ale ona zapewne odgadła jego zamiary i stłumiła odech, oczym się zamyślił, jak gdyby oczekiwała ciosu... I Fabiusz ją pojął: nie zadał jej go.

W piękny dzień jesienny Fabiusz kończył obraz swojej Cecylii; Walerya siedziała przed organem i palce jej poruszały klawisze... Nagle, pomimo woli, pod rękami jej zadźwięczała ta pieśń tryumfującej miłości, którą niegdyś grał Mucyusz — i w tej samej chwili, po raz pierwszy od ślubu, poczuła w swym łonie drżenie nowego zaradzającego się życia... Walerya wzdrygnęła się i zatrzymała...

Cóż to znaczyło? Czyżby...

Na słowie tem kończył się rękopis.

Sprostowanie. W nrze poprzednim str. 578 szp. 2 w. 2 i str. 579 szp. 1 w. 13 zam. *parciane* czyt. „*przelkane* złotem.”

dukuje się do tego: czy pożądana solidarność społeczna polega na wzajemnem pomaganiu i oddziaływaniu ekonomicznem, czy należy lub nie należy tego pomagania i oddziaływania poddać współdziałaniu państwowemu? Aby zaprzeczyć konieczności, fatalizmowi tego poddania, jakkolwiek czasem może ono być przykrem, trzeba być ślepy m wobec oczywistości. Świat ekonomiczny oczekuje na swego pana.

Obie zresztą wprost przeciwne sobie ekonomie polityczne zgadzają się na jedno, t. j. na możliwość osiągnięcia, a przynajmniej pojęcia części ideału, który jest dla nich wspólny tj. *maximum* wartości. Pod tym względem, jak zaznacza Tarde, jeden tylko Cournot, filozof-ekonomista, który śmiało zajrzał w oczy tej kwestyi, wygłasza zdanie przeczące. Według niego, zachodzi pewna analogia pomiędzy ideą optymizmu w ekonomii społecznej a ideą optymizmu i celowości w filozofii naturalnej. Obie te zasady mogą znaleźć tylko częściowe i względne zastosowanie w pewnych określonych okolicznościach. Dany szczegół urządzenia odpowiada najlepiej trwaniu danej czynności lub ustaleniu się pewnego gatunku; ale wzniesmy się tylko nieco wyżej i zapytajmy: dla czego dany a nie inny gatunek powołanym jest do tego, aby istniał w faunie lub florze danej okolicy. Wtedy zasada optymizmu i celowości, służąca za nie przewodnią, już nam się wymyka. To, co sprzyja pomnażaniu się jednego gatunku, jest przyczyną zamierania lub ograniczenia drugiego, a trudno osądzić, czy jako takie lepszym jest znikanie jednego gatunku a rozszerzanie się drugiego. Odnajdujemy nie ową, gdy stworzenie ziemskie rozpatrzmy w stosunku do człowieka, gdy z tego stanowiska sądzimy, że korzystniejszym jest, aby pewne gatunki lub rasy się rozpowszechniły, a inne się zmniejszyły lub znikły, aby w tym celu pewien rodzaj uprawy, podziału gruntów, rozdziału różnych rodzajów kultury i wytwórczości był uważany za lepszy, aniżeli inny. Gdy zaś będziemy porównywali pomiędzy sobą gatunki produktów, różnorodność użytecznych, odpowiadających potrzebom i gustom rozmaitym, z powodu skomplikowania organizacji człowieka, rozmaitości urządzeń społecznych, odrębności temperamentów, ras, klas społecznych, obyczajów, zwyczajów, czasu i miejsca — wtedy nie przewodnia znów nam się wymyka: albowiem chcielibyśmy porównywać przedmioty różnorodne, właściwie nienadające się do porównania a więc i do oznaczenia pewnego *maximum* lub najlepszości (*optimum*). Na podstawie takiego porównania Cournot twierdzi, że zarówno w filozofii natury, jak i w ekonomii politycznej, zniknięcie zasady optymizmu, jako przewodniej, leży w samej naturze rzeczy. Według Tarde'a, krytyka taka byłaby słuszną, gdyby w ekonomii politycznej pojęcie najlepszości, to jest ideału zawierało w sobie porównanie i miarę rzeczy istotnie różnorodnych; wtedy trzeba by zaniechać podążania ku temu celowi, uznanemu za niedorzeczny. Ale bez tego celu ekonomia według Tarde'a, nie miałaby prawa do miana nauki. Warto więc zbadać: czy owa różnorodność mniemana jest zupełną, czy gusty i potrzeby, uważane za niepodobne i niemożliwe do porównania, nie mają w sobie czegoś wspólnego? Powołując się na dawne swe poglądy, Tarde twierdzi, że świadomość każdego człowieka — który musi się decydować pomiędzy dwoma gustami, albo dwoma potrzebami, najbardziej różnorodnymi, z których jedną poświęca drugiej — rozwiązuje to zagadnienie, naprzeciw Cournotowi. Każdy z nas wie, co mu się lepiej podoba: jedzenie czy polowanie, ambicja lub miłość, nauka botaniki lub słuchanie opery. Ten wybór większości, która także musi znać swe upodobania, nie dowodzi, że rzeczy wyszególnione tym sposobem same w sobie są więcej warte, ani-

żeli inne, istotnie różnorodne. Ale sama w sobie żadna rzecz ani osoba niema wartości ekonomicznej. Stosować do wewnętrznej istoty osoby ideę własności — jest to pomijać jej samodzielność, charakterystyczną rdzenną. Rousseau powiedział, że „życie jednego człowieka więcej warte, aniżeli wolność rodzaju ludzkiego,“ robiąc porównanie pomiędzy dwoma rzeczami różnorodnymi. Gdyby wyraźnie wyrzekł zdanie przeczące, niktby mu nie zaprzeczył. Ten przykład wystarcza na zarzuty Cournota.

Więc pojęcie najlepszości, pewnego *maximum* wartości, dającego się urzeczywistnić, jest pochwytnie dla myśli. Biegunkom ekonomii politycznej nie jest wcale fantastycznym. Ale do jakiego z dwu czynników wartości odnieść go należy? Czy z ekonomicznego punktu widzenia świat ciąży do *maximum* pragnień i żądz, czy do *maximum* wiar, gwarancji, pewności ochraniających od przyszłych klęsk i niebezpieczeństw? Co do *maximum* pragnień można by przypuścić, że one mogą mieć natężenie i rozgałęzienie nieskończone. Jednakże Stuart Mill określa pewien stan *statyczny* cywilizacji i przemysłu, stan, gdzie w danych warunkach rozwoju klimatycznego i umysłowego istnieje ideał społeczny, dający społeczeństwu szczyt najwyższy, jeżeli nie szczęścia, to przynajmniej przesyty. Bez wątpienia potrzeby się mnożą, ale większość ich jest przewidywaniem żądań przyszłych, które mogą się niewytworzyć; większość wartości, odpowiadających tym potrzebom, to jest wszystkie z wyjątkiem tych, które natychmiastowo się użytkują, są nadziejami lub możliwymi pewnościami przypuszczalnych zadowoleń. Stąd to pochodzi, według Tarde'a, ta wzrastająca siła złota w społeczeństwach, które powoli odstępują od wierzeń religijnych. Pewność, jaką przedstawia złoto posiadaczowi, pozwala jej odgrywać *pod względem ekonomicznym* rolę tych wierzeń. Celem ostatnich jest nabycie pewności lub możliwości zbawienia, otrzymanie *pewności wiecznej*. Pieniądze zaś wcielają wiarę ogólną i wspólną, tkwi w nich tajemnicza obietnica przyszłych rozkoszy. Wiara jednak, którą budzi złoto, może być tak omylną jak wszelka inna. Tymczasem jednak pewność usprawiedliwiona lub zawodna, którą nas ono nęci, jest siłą produkcyjną *sine qua non*. Dla tego też pragnienie złota się wzmacnia.

Powszechna opinia, która krąży wśród ekonomistów, że zadaniem państwa jest zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa, wzięta ściśle w tem znaczeniu, byłaby narzuceniem państwu straszego ciężaru. Spełniając takie zadanie, powinno ono tylko z bogactw wszystkich swych członków. Jakkolwiek więc żądza złota jest pragnieniem, jednakże jej wzrost świadczy przede wszystkim o wzroście ufności i wiary, gdy tymczasem siła pragnienia, ogółem wzięta, zmniejsza się. Tarde mniema, że w miarę wzrostu oświaty, ludzkość powoli tracić będzie własne złudzenie co do pragnień, przynajmniej w ich gałęzi pozytywnej. Pragnienie bowiem jest albo pozytywne albo negatywne — stosownie do tego, czy towarzyszy mu wrażenie, obraz lub sąd mniej lub więcej nieurzeczywistniony, czy też przeciwnie, usunięcie wrażenia, obrazu oraz sądów, jakie one wywołują. Każde pragnienie pozytywne, towarzyszące jakiejś ucieśce, dochodzi do pewnego punktu, w którym spotyka je pewien zawód; jest to chwila zupełnego zadowolenia. Głębokie to złudzenie, że granica, w której żądza spodziewa się znaleźć swoje zaspokojenie, wydaje się przyjemnością rokoszną, co jest niemożliwem, ponieważ zaspokojenie pragnienia zawiera w sobie jego zniknięcie albo zmniejszenie, gdy tymczasem przyjemność przypuszcza swój wzrost.

Dla tego też, według Tarde'a, należy pokonywać dążącą i tak do zmniejszenia wia-

rę żądań pozytywnych w ich własne urzeczywistnienie.

Jeżeli pragnienie pozytywne nas zużywa, negatywne, wcielone w pewne wrażenia i obrazy, wywołuje ból. Ono nie myli nas wcale, albowiem dąży do wyzwolenia się, do stanu, w którym istnieć nie będzie. Ono tylko jest racjonalne, ono tylko może osiągnąć swój kres za pomocą sztuki, nauki i miłości — tych trzech wielkich czynników, znieczulających cierpienie.

W kierunku pragnień pozytywnych przyszła ludzkość przywiąże się przede wszystkim do ciekawości pośredniej lub bezpośredniej, prawowitej lub nieprawej, szukając w niej radojmi przeciwko możliwym klęskom. Postęp życia politycznego, urządzeń społecznych i nauk powiększy sumę tego przewidywania i pewności, tak że nasi prawnukowie będą mogli używać, jeżeli nie szczęśliwości w ścisłym znaczeniu tego słowa, to przynajmniej bezpieczeństwa nieskończonego wyższego, aniżeli nasze. Wzrostowi temu towarzyszyć będzie, według Tarde'a, także wzrost oglądy towarzyskiej, wytwarzającej pewność porównania naszych wiar, pragnień i złudzeń w najbliższych stosunkach międzyspołecznych. Gdy ogląda dworów królewskich przeniknie ostatnie nawet warstwy, każdy pozna prawdziwą radość życia. Ziemia będzie wtedy wielkim zakładem roboczym, a ten zakład będzie wielkim salonem, świetnym i liberalnym salonem XVIII wieku, otwartym dla wszystkich, nawet dla barbarzyńców. Będzie to coś więcej, niż sielanka. Tarde wierzy, że ideał ten nie jest utopią.

O człowiek starzejący się nawet przed schyłkiem życia czuje, że w niem zmniejszają się pragnienia możliwych rozkoszy, nawet obawy możliwych nieszczęść. Siła jego oporu zmniejsza się, chociaż jego czynność trwa jeszcze. Jednocześnie widzi, że jego wiary ustalają się, układają systematycznie, uogólniają z dnia na dzień. Czy tak samo nie będzie z ludzkością?

I. K.

KILKA UWAG O SOMNAMBULIZMIE.

III.

Badacz francuski, K. Richet, utrzymuje w swem studyum o somnambulizmie, że jakkolwiek nie sprawdzono dotąd w sposób naukowy, ażeby osoba, zostająca w stanie somnambulistycznym, mogła przenikać myśli eksperymentatora, wykonywać rozkazy *pomyślane* przez niego, ale *niewypowiedziane* lub w inny sposób *wyrażone*; z tem wszystkim zaprzeczając tego *a priori* nie można i potrzeba czekać na dalsze w tym przedmiocie doświadczenia. Zdanie to, podnoszące kwestję jasnowidztwa do wysokości naukowego zagadnienia, znalazło sympatyczny odgłos i u nas — najprzód wśród tych, którzy pragną uchodzić za ścisłych badaczy, a następnie wśród ludzi, którzy upatrują w niem uświeścenie swej wiary w przeczucia i przepowiednie. Jakkolwiek pozornie zdaje się ono zgadzać ze stanowiskiem, które zajmuje obecnie nauka, opierająca się wyłącznie na doświadczeniu i obserwacji — w gruncie rzeczy sprzeciwia się mu stanowczo, zapoznając właściwy charakter indukcyjnej metody. Opiera się nauka na doświadczeniu — to prawda — ale nie potrzebuje uciekać się do doświadczenia w każdym pojedynczym wypadku. Droga indukcji dochodzi ona do ustanowienia prawd ogólnych, których wartość nie ogranicza się na samych tylko faktach zbadanych; mają one znaczenie dla wszystkich wogóle faktów, do tej samej grupy należących. Ogólne te prawdy pozwalają jej w danym wypadku wyprzedzać doświadczenie, wyprzedzać dedukcyjne wnioski o tem, co mo-

że i powinno się okazać w pewnym szeregu zjawisk, do jakich rezultatów musi doprowadzić doświadczenie, podjęte w pewnym kierunku. Słowem, może ona coś twierdzić lub przeczyć czemuś *a priori*, opierając się wyłącznie na doświadczeniu przeszłości i na wyprowadzonych z niego prawdach. Gdyby nauka zmuszona była udawać się do doświadczenia we wszystkich możliwych kwestiach, gdyby nie wolno jej było w danym razie decydować o nich *a priori* na podstawie prawd powszechnie przyjętych i stwierdzonych doświadczeniem przeszłości — przestałaby być umiejętną całością i zniżyłaby się do poziomu empirycznych szczegółów. Co więcej, stałaby się bezbronną wobec najdzikszych przypuszczeń i najniedorzeczniejszych przesądów, których nie mogłaby odrzucić i potępić dlatego tylko, że doświadczalnie nie może wykazać ich fałszywości. Tak jednakże nie jest. W każdej gałęzi nauki, nawet najbardziej ściślej, znajdujemy mnóstwo twierdzeń i przeczeń, które są tylko dedukcyjnymi wnioskami z prawd, wykrytych drogą indukcji, które przeto są twierdzeniami i przeczeniami czysto *a priori*.

Mechanika naprzykład, opierając się w swych wywodach na zasadzie trwałości siły, nie potrzebuje czekać na przyszłe doświadczenia, ani też odwoływać się do przeszłych, ażeby mogła wypowiedzieć swe przekonanie o tak zwanym *perpetuum mobile*. Wychodząc z założenia, ustalonego doświadczeniem, że wszelki ruch odbywa się kosztem siły, która podczas niego ulega przemianie, rozprasza się i w końcu ginie, może ona myśl o *perpetuum mobile* odrzucić *a priori*, jako mrzonkę fantastyczną, sprzeciwiającą się prawom rzeczywistego świata. Wynalezienie bowiem *perpetuum mobile* nie byłoby czem innym, jak obmyśleniem przyrządu, któryby albo zabezpieczał siłę od rozpraszania się podczas ruchu, albo ją stwarzał na nowo z niczego, w miarę jak się przez ruch zużywa.

Nauka albo ma pewne prawdy, albo ich nie ma. Jeżeli nie ma żadnych pewników, na którychby mogła się oprzeć w swych wywodach, jeżeli wszystkie jej twierdzenia są tylko przypuszczeniami tymczasowymi, natenczas przestaje ona być nauką we właściwym tego wyrazu znaczeniu. Jeżeli zaś ma, to musi je uważać za prawdy bezwzględne dla pewnego szeregu faktów — t. j. za takie, które w tych samych warunkach muszą być uznawane za prawdy zawsze i wszędzie. W takim razie ma ona prawo przyjmować lub odrzucać wszystkie twierdzenia lub przypuszczenia stosownie do tego, czy one się zgadzają z jej założeniami lub im się sprzeciwiają. Inne potrzebuje czekać na przyszłe doświadczenia, od których, co najwięcej, może żądać stwierdzenia swych wyroków.

Kwestya jawnowidzenia wraz z pokrewnymi jej kwestyami przeczuć, przewidywania, należy do zakresu psychologii, a mianowicie do tego jej działu, w którym zajmuje się ona naturą i warunkami poznania. Jakkolwiek bowiem będziemy się na nie zapatrywali, musimy w nich uznać nie co innego, jak pewien rodzaj poznania, odmienne sposoby nabywania znajomości o rzeczach zewnętrznych. Pragnąc więc rozstrzygnąć pytanie, czy jasnowidzenie jest możliwem, czy możemy uważać przeczuć i przewidywania za fakty rzeczywiste, potrzebujemy tylko uprzytomnić sobie w umyśle to, czego nas uczy psychologia o naturze poznania i jego warunkach.

Wprawdzie, nie odznacza się dziś jeszcze psychologia tą ścisłością, jakiej od niej wymagać mamy prawo, i pozostawia wiele kwestyi nierozstrzygniętych i wiele wątpliwych, a nawet nie wszyscy zgadzają się na reformę, jaką ostatnimi czasy do niej wprowadzono, stawiając ją na stanowisku nauk przyrodniczych i zastosowując w niej metodę indukcyjną. Niemniej przecież są

w niej pewne dane, na które wszyscy psychologowie, do jakiegokolwiek szkoły należą, zgadzają się najzupełniej i uważają je za pewniki.

Pomijając mistyków, którzy swych twierdzeń niczem nie usprawiedliwiają i w swej teorii o poznaniu fantazyją raczej na dany temat, niż rozumują, weźmiemy pod uwagę dwie panujące dziś teorie poznania. Podług jednej, opierającej się na doświadczeniu, wiedza ludzka sprowadza się do spostrzeżeń zmysłowych i do faktów wewnętrznej świadomości. We wszystkich sprawach poznania — w pojęciach, sądach, wnioskach, w najgenialniejszych pomysłach, nie widzi ona nic innego, jak coraz wyższe uogólnianie przez wykrywanie podobieństw w różnicach, jakie następują umysłowi fakty świata zewnętrznego i wewnętrznego. Druga teoria, usiłująca pogodzić doświadczenie z założeniami metafizyki, utrzymuje, że jakkolwiek pierwsze, dostarczające umysłowi materiału, jest koniecznem dla poznania i bez zmysłowej treści wiedza jest niemożliwą, z tem wszystkiem są pewne pojęcia i sprawy umysłu, które nie dadzą się sprowadzić do spostrzeżeń i są czemś więcej, niż samem tylko ich uogólnieniem. Umysł ludzki zawiera w sobie pewne idee, stanowiące jego istotę, jak: pojęcia czasu, przestrzeni i przyczyny, które lubo potrzebują do swego ujawnienia się zmysłowej treści, są jednakże od niej niezależne i nad nią panują. Dzięki tym pojęciom, gotowym w umyśle, a nienabytym, czuje się człowiek zdolnym uporządkować swe spostrzeżenia i doświadczenia i cały zasób swej wiedzy sprowadzić do syntetycznej jedności.

Nie będę się zastanawiał tu nad tem — która z dwu tych teorii jest prawdziwszą: chodzi mi bowiem nie o to, czem się one różnią od siebie, ale o to, w czem się zgadzają. Otóż każdy musi przyznać, że obie te teorie uznają za konieczny warunek poznania zmysłowe postrzeganie. Uczą nas one, że rzeczy zewnętrznego świata, czyli, mówiąc inaczej, wszystkto to, co leży po za naszym *ja*, znamy tylko pośrednio, za pomocą naszych zmysłów i że umysł nasz nie może, że tak powiem, wyjść z siebie na zewnątrz i bezpośrednio zetknąć się z tem, co nie jest jego myślą, uczuciem, postanowieniem, co nie jest nim samym, ale mu obcem. Jedyną drogą poznania rzeczy zewnętrznych są zmysły, ograniczone czasem i przestrzenią.

Czy z tym pewnikiem naukowym da się pogodzić to, co wyraźnie lub domniemalnie przypuszcza wiara w jasnowidzenie, w przeczuć i prorocze widzenia?

Wiara ta obdarza człowieka zdolnością wznoszenia się umysłem w wyjątkowych warunkach po nad wszelkie ograniczenia zmysłów, wyzwalania się z ich więzów i bezpośredniego ujmowania, drogą wewnętrznego intuicji, tego, co nie jest nim, co mu jest obcem i leży zewnątrz niego. Zdolność ta pozwala mu przenikać cudze myśli i uczucia, czytać w ich duszy, jak w otwartej księdze, nie potrzebując do tego żadnych zewnętrznych znaków, oraz okiem ducha, nieprzyjemionem cielesnemi wrażeniami, oglądać rzeczy, które oddziela od niego niezmierna przestrzeń, jako też wypadki, które kiedyś się stały lub stać się dopiero mają w mniej lub więcej odległej przyszłości.

Każdy się zgodzi, że przyznawać człowiekowi tego rodzaju zdolność, jestto przypuszczać, że umysł człowieka może w pewnych warunkach wyjść z siebie na zewnątrz. Otóż przypuszczenie tego rodzaju ma tyleż sensu, co usiłowanie szaleńca, który zapragnął własny cień przeskoczyć.

Bezpośrednio, drogą wewnętrznego indukcji, zna człowiek tylko stany swej świadomości, swe myśli, uczucia i chcenia, słowem, to, co stanowi jego jaźń; wszy-

stko zaś inne, co leży po za granicą jego świadomości, co się kryje w mroku cielesnego jego życia, albo też leży zewnątrz niego, jako świat przedmiotowy, poznaje on pośrednio, za pomocą zmysłowego postrzegania. Czego nie wyważy własnym trudem z głębi swego serca, czego nie zdobędzie własnem doświadczeniem i rozważą lub nie nauczy się od innych — o tem żadną inną drogą nie dowie się. Odgadujemy wprawdzie przyszłe wypadki, ale o tyle tylko, o ile one są koniecznem następstwem pewnych przyczyn, do których zbadania dostarcza nam danych przeszłość i teraźniejszość — a odgadywanie nasze nie jest czem innym, jak wnioskowaniem, wtedy tylko trafiam, gdy przypuszczalne przez nas warunki nie zmieniają się. Przeczuwamy nieraz zagrażające nam klęski, ale dzieje się to pod wpływem obaw, świadomie lub nieświadomie działających na nas, i spełnienie się tych obaw niema żadnego bezpośredniego stosunku z naszymi przeczućmi. Umiemy przenikać cudze myśli i uczucia, ale o tyle tylko, o ile pilnem badaniem nauczyliśmy się znaczenia pewnych zewnętrznych znaków, jakie towarzyszą ludzkim zamiarom, myślom, uczuciom i całemu ich postępowaniu. Rozumiane w innym znaczeniu fakty i podania, cytowane na potwierdzenie jasnowidzenia, przeczuć i przepowiedni, są, jeżeli nie wymysłem i szarlataneryą, to w każdym razie złudzeniem umysłu, nieświadomego wewnętrznych swych spraw i ich natury.

Władysław Kozłowski.

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

J. Goldszmit, Dobroczynca jakich mało. Warszawa.

Ponętnym zawsze dla głosicieli sławy narodowej bohaterem będzie najpotężniejszy może charakter, jaki się w Polsce kiedykolwiek wychował — ks. St. Staszic. Jest to postać tak olbrzymia, tak wspaniała, że z najpobieżniejszego wizerunku wyrasta swoimi niezwykłymi rozmiarami. Niema tak niendolnego biografa, któryby nie umiał przedstawić Staszica wielkim. To też jakkolwiek broszurka p. Goldszmita, widocznie dla popularnego użytku przeznaczona, jest szkicem nader pospiesznym, nie zmniejsza jednak rozległych zasług swego bohatera. Autor zwraca wyłącznie uwagę na filantropijną i społeczną działalność Staszica i dziwi się, że ona „tak niewiele dotąd historyków i krytyków znalazła.“ Podzielamy owo zdziwienie z tym wszakże warunkiem, że inna, piśmiennicza strona daleko mniej jeszcze jest oceniona, a nawet znana. Od niewiedomości w tym względzie nie jest wolny i p. Goldszmit, według którego „Staszic nie wybitnie w pierwszych szeregach dziejów literatury.“ Nie liczymy za szczególny grzech p. G., że nie czytał widocznie poematu p. t. *Ród ludzki*, bo go nie czytało wielu naszych historyków literatury; ale musimy się zdziwić, że tak niepoehlebną dał cenzurkę *Przestrogom* i *Uwagom*, o których wspomina. Staszic „nie wybitnie“ jako pisarz, bo u nas nie wybitnieja również badacze literatury ojezystej; gdy ci obficie się znajdują, i on może do „pierwszych szeregów“ się dostanie. Lekceważenie filozoficznego i socjologicznego stanowiska Staszica w piśmiennictwie naszym jest cechą bezprzykładnej niedbałości w szanowaniu, czy nieumiejętności w rozumieniu swej chluby. To też jakkolwiek książeczka p. Goldszmita nie przynosi nam nic nowego (chyba całkowicie w niej przedrukowany testament), radzi jej jesteśmy jako nowemu przypomnieniu, że przed pół wiekiem

za kościołem Kamedułów na Bielanych złożono do grobu w skromnej trumnie wielkiego polaka i wielkiego człowieka, któremu dotąd nikt nie wystawił godnego pomnika w literaturze. S.

Lusława, Straszne skutki zaniedbanego wychowania, powiastka; Podzielona osada czyli skutki rządności i niedbalstwa, powiastka. Warszawa, 1881.

Obie powyższe powiastki z charakterem na wskróś dydaktyczno-moralnym są przeznaczone dla ludu wiejskiego, a świadczą z jednej strony o dobrych chęciach autorki, z drugiej zaś dowodzą słabej znajomości jej i pewnej dziwaczności w ujęciu faktów i odmalowaniu stosunków wiejskich. I tak autorka w pierwszej powiastce przedstawia zamożną i oszczędną rodzinę wieśniaczą, której jedynym zmartwieniem jest brak dzieci. On, karbowy dworski, jest mądrym człowiekiem, którego zacięci właściciele dóbr wielce szanują i cenią; ona — dobrą, rządą gospośnią. Na skargę karbowego i jego narzekania radzi pani, by wziął na wychowanie nieslubną córkę mamki dworskiej. Następuje zgoda, lecz owa mała dziewczynka, pieszczona i ukochana, staje się przyczyną nieszczęść; złośliwa, przebiegła, drażni przybranych rodziców, wadzi ich z sobą — wreszcie powoduje śmierć swej opiekunki i zmusza karbowego do wyrzeczenia się wyrodnego dziecka. Taka jest treść powiastki. Czy ona nie nasunie czytelnikowi myśli, że dziecię wzięte na wychowanie, przytłone do serca zaciej rodziny, dziecię, któreby niechybnie zmarniało w domu podrzutków — należy odrzucić, bo ono staje się przyczyną nieszczęść? Myśl ta jest tem jaskrawszą, że prawe dzieci są przedstawione w świetle korzystnym.

Nieznajomość ludu widzimy w tonie dydaktyczno-macierzyńskim. Czasby już było wyjść z tego zaczarowanego koła idyllicznych obrazów o kmiotkach, dla których autorowie i autorzy są doświadczeni, starszymi braćmi, którzy karzą i straszą prostaczków. Pod strzechami wieśniaków nie żyją dzieci, lecz ludzie dojrzały, którzy posiadają swoją własną filozofię, swe ideały, zapatrywania, swój świat towarzyski, arystokratyczny i demokratyczny i odrębne pojęcia społeczno-rodzinne. Kto chce działać na lud, musi żyć z nim, odczuć jego potrzeby moralne i materialne, iść torami jego myślenia i stosowne, żywotne dla niego stawiać ideały, a nie według recepty, w której napisano: tyle granów oszczędności, tyle czystości, tyle porządku i zamożności, wstrętu do wódki i innych nałogów, zmieszać to razem, nadać pokost bojaźni bożej i uszanowania dla dworu, ubrać w porządną kapotę i całe buty — i ideał gotowy. Tą drogą nie trafimy do ludu, czytanie nie będzie go interesowało, nie stanie się potrzebą moralną. Realizm w powiastkach ludowych i nader wybitna plastyka obrazów, oto konieczne warunki powodzenia takich utworów.

Druga powiastka kreśli nam dzieje majątku wieśniaczego, podzielonego pomiędzy dwu synów, z których starszy był rządnym, dzielnym i cnotliwym gospodarzem, wychowany w karności i w pracy przez ojca, a drugi, rozpieszczony przez babkę, posiada wszystkie możliwe ujemne przymioty moralne. Wcale barwnie maluje autorka upadek gospodarstwa syna młodszego a wzmagający się majątek, powagę i wziętość starszego. Lecz znów zarzucilibyśmy p. Lusławie, że jej postacie są sylwetkami, wykrojeniami według wzorów moralno-dydaktycznych, a nie ludźmi. Czyż może się w nich który z wieśniaczych czytelników przejrzeć?

A. G.

Księgi Podskarbińskie z czasów St. Bato-rego (1576—1586) w dwu częściach (Źródło

Dziejowych t. IX.), wydał A. Pawiński, Warszawa.

Prof. Pawiński niedługo czekać nam każe na nowe dowody swej pracy. W tym roku wydaje już drugi (o pierwszym mówiliśmy w *Prawdzie szczegółowo*) a z kolei dziewiąty tom „Źródeł dziejowych.“ Są to wykazy rozchodu i przychodu skarbu nadwornego. Jak szan. badacz objaśnia w przedmowie, materiały te składają się z „plik“ „t. j. rachunków szczegółowych, zachowanych w nieporządku i niekomplecie, oraz z ksiąg ogólnych, rocznych — spisanych i zachowanych starannie. Otóż p. Pawiński wydał tylko te ostatnie, używając pierwszych jedynie do sprostowań lub uzupełnień. Pomimo starań, nie mógł zebrać całkowitego materiału w oznaczonym dziesięcioleciu. Brak dwu lat 1579 i 1584, podczas których król Stefan bawił na Litwie lub po za granicami Korony, zajęty przygotowaniem do wyprawy i obleganiem Połocka. *Księgi Podskarbińskie* pisane są po łacinie.

Okladka książki uwiadamia nas, że wyszedł również tom X „Źródeł dziejowych“ p. t. *Sprawy włoskie za Jagiellonów*, w którym p. A. Jabłonowski, współpracownik prof. Pawińskiego w tem wydawnictwie, ogłosił oraz historycznym szkicem objaśnił „akta i listy.“ Tego wszakże tom nie znamy. W.

Lira polska, Warszawa, B. Lesman.

Na szczęśliwą myśl wpadła firma księgarska, której zawdzięczamy dzieło Langego, wydając piękny i ozdobny zbiorek poezji najznakomitszych wieszców naszych. Są w tym bukiecie uroczyste kwiaty poezji polskiej. Ze starszych Kochanowski, z nowszych Mickiewicz, Syromkoma, Zaleski i Goszczyński, z najnowszych Asnyk — dostarczyli najwięcej pereł do tego naszyjnika polskiej Muzy. Nie powiem, ażeby wybór zrobiono zawsze najszczęśliwszy (n. p. trudno pojąć czemu na wyróżnienie zasłużył sobie zaścianek Dobrzyńskich, nie zaś pierwszy lepszy wschód lub zachód słońca w *P. Tadeuszu*) — nie podnosimy wszakże zarzutów wobec cyferki 1, która zapowiada dalszy ciąg *Liry polskiej*. Dla tego samego względu oszczędzamy wymówki za niepomieszczenie Konopnickiej, oraz za kilka usterek korektorskich, które do tak wytwornej książeczki zakraść się nie powinny. A jest ona wytworną: papier drogi, druk czysty, format miniaturowy, a nie zapomnijmy o nader ważnej zalecie — cena kop. 30. Do salonu i wagonu jako rozrywka lepsza, niż funty klaków, na dworcach sprzedawane. P.

Historia Literatury Powszechnej Jana Scherra, tłum. B. Zawadzki, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Trzeci dopiero zeszyt przekładu tego dzieła wydobył się z pod prasy, pomimo że według ogłoszenia miało ono całkowicie (w 6 zeszytach) wyjść w roku bieżącym. Ukończony dotąd tom pierwszy zawiera: Wschód, Grecję i Rzym, wieki średnie i nowsze we Francji i Włoszech. Wobec niedokończonej książki trudno nam mówić o jej wartości i przekładzie, gdyż po ukończeniu go musielibyśmy znowu powracać do tegoż samego przedmiotu. Dziś więc tylko zaznaczamy posuwanie się naprzód wydawnictwa, które, gdyby dobiegło do końca, mogłoby w obecnej porze stanowić (jak w Niemczech) bardzo właściwy dla dorosłej młodzieży dar gwiazdkowy. K.

Historia filozofii materialistycznej, F. A. Langego, tłum. F. Jezierski. Warszawa, B. Lesman.

Jeden już tylko zeszyt pozostaje do zamknięcia tego znakomitego dzieła, które jest pięknym nabytkiem naszej literatury przekładowej. Rozbiera w nim autor dalszy ciąg współczesnych zagadnień filozoficz-

nych, o ile one odbiły się w materializmie. Tu najwyraźniej rysuje się jego stanowisko i najlepiej uwydatnia się głęboki krytycyzm, który przyjmując wdzięcznie wszystko, co zdobyła niepodległa wiedza nowożytna, umie cenę i trwałość jej darów ściśle określić. Po skończeniu druku przekładu, ogarniemy wraz z czytelnikiem całą treść dzieła Langego. S.

Z GALICYI.

Lwów, 7 grudnia 1874.

Boś ty jedyny syn Prometeusza!
Sę ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
J. Słowacki.

Pod takim godłem wysyłam pierwszy swój list z prowincji, „gdzie widmo nadziei dla małowiernych serc podobnem jest snowi.“

Mógłby kto wnosić z przytoczonych tylko co wyrazów, że wstępuję w ślady owych korespondentów, którzy, zbyt poddając się swemu pesymistycznemu uspozieniu, odsadzili Galicję od wszystkich cnót społecznych, którzy, upatrując złe tam nawet, gdzie go niema, przedstawiają nasze społeczeństwo, jako zubożnięte na wyższe cele, zepsute do szpiku kości.

Przeciwko takiemu posądzeniu zastrzegam się bezwarunkowo. Nie taję, że więcej u nas złego, niż gdzieindziej; że stan naszych stosunków ekonomicznych i społecznych jest opłakany; jednakże przyczynę tego złego widzę nie w moralnym upadku kraju, ani w jego zubożeniu na zadania narodowe; ale w tem, że dzięki warunkom położenia, w jakim do niedawna jeszcze znajdował się, nie mógł się dotąd jeszcze rozpatrzeć w swych kłopotach i zdołać na postanowienie, co ma robić i w jakim kierunku działanie swe prowadzić. Przerzucając się z jednej ostateczności w drugą, paraliżowany w swych zamiarach wewnętrzną niezgodą, gromiony surowo ze wszystkich stron z powodu swej nieporadności, stracił wiarę w siebie i do wszystkiego zabiera się z niedowierzaniem, bez energii i mocnego postanowienia, bądź co bądź, doprowadzić do końca rzecz, którą się raz zaczęło. Dodać do tego jeszcze potrzeba sangwiniczne nieco usposobienie naszego ogółu, w którego sercu, jak powiada Słowacki, nie trwa myśl ani nawet godziny — a będziemy mieli zagadkę rozwiązaną.

Gdyby przyszło oceniać nasz kraj ze stanowiska czysto uczuciowego, biorąc na uwagę same tylko dobre chęci, których nie można odmówić ani jednostkom, ani zbiorowym ciałom — to musielibyśmy wydać wcale pochlebny wyrok o Galicji. Inny atoli wypadnie sąd, gdy sięgniemy myślą głębiej, gdy zapytamy o owoce naszych dobrych chęci, gdy się przypatrzymy wynikom naszego krzątania się i gorliwej nieraz pracy nad dobrem publicznym. Wtedy musimy mimowoli zawołać z naszym poetą: Sę ci wyjada nie serce, lecz mózgi!

Pocieszającym w każdym razie objawem jest to, iż przyszliśmy już do przeświadczenia, że złe jest z nami i że trzeba na dobre zabrać się do poprawy. Przeświadczenie to znalazło nawet swój wyraz w wykrzykniku, którym zaczynamy i kończymy swe zdania i uwagi o wszystkich naszych sprawach. Jest nim: Al to po galicyjsku!

Jakie ma znaczenie ów wykrzyknik, objaśni wywód następujący:

Wszyscy czujemy i głęboko uznajemy, że dalek tak iść rzeczy nie mogą; ale jak dotąd nie możemy się porozumieć, gdzie leży przyczyna złego, nie możemy się zgodzić na środki, za pomocą których należałoby to zło w samym zarodzie przytłumić

Przemyślają nad tem wszystkie stronnictwa nasze, ale każde gdzieindziej szuka ratunku i zbawienia. I dla tego wszyscy, jak jesteśmy, podobni do doktorów, którzy, stojąc u łóżka chorego i nie wiedząc, co mu jest, kiwają poważnie głowami i powtarzają: źle, źle! Nie wiedząc, do jakich leków się uciec, jak się zabrać do racjonalnego leczenia, ograniczają się na doradzaniu higienicznych środków. Ale cóż, kiedy i pod tym względem nie mogą się zgodzić na jedno. Ci utrzymują, że potrzeba chorego zostawić własnej jego naturze i nie nie robić; tamci radzą, ażeby mu dać na wzmocnienie; inni znowu twierdząc, że wszelkie choroby pochodzą ze zbytku ruchu i myślenia, które wyczerpują żywotne siły organizmu—zalecają, by chorego owinać w powijaki, ażeby się nie mógł ruszyć i zabronić mu najsurowiej myśleć. Taką radę na cierpienia naszego kraju zalecają stańczycy krakowscy.

Na tegorocznej sesji sejmowej wystąpili właśnie stańczycy z projektem, który miał na celu ni mniej, ni więcej, jak sprowadzenie autonomii krajowej do zera, do stanu, w którym pozostałaby z niej sama tylko nazwa bez znaczenia. Chcieli oni mianowicie, ażeby przewodniczącymi rad powiatowych, na których czele stoją marszałkowie, wybieralni przez powiaty, byli odtąd starostowie, mianowani przez rząd. Kierowali się oni w tem nie samą tylko lojalnością względem rządu, ale wyrachowaniem, że w ten sposób rządy dostaną się w ich ręce i będą mogli z całą swobodą zabrać się do zreformowania kraju podług swego planu. Trzeba bowiem wiedzieć, że między marszałkami powiatowymi znajdują się ludzie, którzy się zdala trzymają od możnowładno-ultramontańskich dążeń stańczyków, gdy tymczasem starostowie stali by się ślepem w ich ręku narzędziem, raz dla tego, że jako urzędnicy polityczni zależni są od namiestnika, który sam jest stańczykiem, a powtórę dla tego, że większa ich część składa się z hrabiów austriackich, którzy, jeżeli nie ze szkatuły, to z tytułu uważają się za przedstawicieli krajowej arystokracji.

Jak wiadomo, ponieśli stańczycy stanowczą w sejmie klęskę, która tem dotkliwszą jest dla nich, że kilkunastu posłów wystąpiło z ich koła. Do tej klęski przyczyniła się znacznie partya szlachecka, która, chociaż w wielu sprawach szła i zawsze pójdzie ręką w rękę z krakowskim stronnictwem, tym razem wystąpiła przeciwko niemu, posłuszna sakramentalnemu hasłu, wypowiedzianemu przed rokiem przez swego przewodnika: „Naj bude, jak buwało.“

Mimo to wszystko, klęska ta nie osłabiła tak bardzo stańczyków, którzy tem są silni, że słabem i niezaradnem jest stronnictwo postępowe, mające wiele odwagi i stanowczości, gdy idzie o rozprawianie w ciasnem kółku zwolenników, ale nieśmiało i z oglądaniem się przystępujące do działania. Jakoż widzimy, że chociaż w wyborach na posła z Krakowa do Rady Państwa przegrali stańczycy, wygrana przecież postępowców nie może się zaliczyć do ich tryumfu, zważywszy, że wybrany przez nich poseł jest karyerowiczem, któremu głównie chodzi o wyniesienie się jakimkolwiek kosztem. Za to stanowcze odnieśli zwycięstwo nad stronnictwem postępowem w tarnowskim, gdzie wybrano posła do Rady Państwa jednego z najzagorzalszych ich stronników.

Główną przyczyną słabości stronnictwa postępowego, oprócz tej, o której powyżej nadmieniliśmy, a którą jest brak wiary w siebie, jest to, że nie posiadamy ani jednego pisma, któreby będąc wyrazem wolnomysłnych zasad, wiernie stało pod rozwieszonym sztandarem i służyło za widomy znak dla stronnictwa w jego krzątaniu się i zabiegach około pracy publicznej. *Dziennik Polski*, mający być organem po-

stępowej partji, w gruncie rzeczy niewiele się różni od *Gazety Narodowej*, redagowanej w duchu szlacheckich tradycji, których symbolem jest kontusz, tak jaskrawie wyróżniający się od mieszczańskiej czamary i wiejskiej sukmany. Zresztą oba te dzienniki mają to wspólne, że nie mają zgola żadnej redakcyi, że każdy z ich współpracowników kieruje się osobistymi przekonaniami i sympatjami, które wtedy tylko ulegają pewnemu ograniczeniu, gdy wypadnie mówić o kimś lub o czemś, z kim sympatyzuje główny redaktor, albo z czem pośrednio lub bezpośrednio związane są interesy wydawnictwa. Są to bowiem przedsiębiorstwa obliczone głównie na zysk. Nie powiadam, żeby nie miano w nich na względzie dobra publicznego, traktuje się ono w nich jednakże warunkowo, o ile na to pozwalają pewne względy i względziki, a nawet sama grzeźność. O, bo my jesteśmy zawsze bardzo grzeźni! Jest to nasza cnota, którą się chlubiemy, chociaż nieraz zmuszeni jesteśmy zajaść później gorzkie jej owoce, że aż nam łzy do oczu podcho-
dzą.

Dla tego też z wielką radością przyjęliśmy zapowiedź nowego dziennika, który od nowego roku ma wychodzić w Krakowie i który będzie organem postępowego stronnictwa. Czy potrafi on spełnić wszystkie nadzieje, jakie budzi w nas sama jego zapowiedź? Trudno dać na to kaucję, a to tembardziej, że jak utrzymują powszechnie, na czele jego ma stać człowiek, który przed siedmiu laty wydawał we Lwowie dziennik i pozostawił po sobie wspomnienie nie bardzo przychylne dla swej osoby i źle rokujące dla pisma, którem ma kierować. Pocieszającym jest to tylko, że wydawcą tego pisma jest kto inny, bogaty kapitalista, który zakłada dziennik dla tego tylko, ażeby ułatwić krajowi walkę ze stańczykami. Administracya więc dziennika będzie niezależną od redaktora głównego, a to właśnie daje główną rękojmię, że dziennik potrafi utrzymać się, mając zapewnione fundusze na cały rok (!) Kierownictwo fejetonu obejmie znany zaszczytnie w naszej literaturze Adam Asnyk. Winą to więc będzie redakcyi politycznej części dziennika, jeżeli przez ciąg roku, w którym nie będzie potrzebowała troszczyć się o materyjalną podstawę bytu, nie zdoła zapewnić swemu piśmu stałego istnienia, tembardziej, że potrzeba dziennika o postępowych zasadach, zgodnych z interesami kraju, odczuwać się zdaje powszechnie.

Łada.

LIBERUM VETO.

Dwie komety. — Co to będzie. — Wskazówka dla sabeizmu teatralnego. — Sad Parysa i ofiarowanie jabłka p. Modrzejewskiej. — Sara Bernard jako płaszczyzna. — Co ja bym zrobił co zrobić powinien szczęśliwy p. W. Landau. — Jego dowcipne wydobyć się z pułapki spamiętaności. — Trzy butelki wina za 9,800 rs. — Odczyty. — Niecierpliwy łec F. — Największy wynalazek. — Sposób dojechania do nieśmiertelności.

Z dwu stron: od południo-wschodu i północo-zachodu nadciągają ku nam dwie złowrogie komety z długimi ogonami—panie Sara Bernard i H. Modrzejewska. Gdy nasi dziennikarze Wernychorzy zapowiedzieli koniec świata na ostatni miesiąc bieżącego i pierwszy następnego roku, pozwoliliśmy sobie wątpić o prawdziwej wróżby; dziś wszakże widzimy, że nam istotnie grozi straszne zniszczenie, co najmniej... rozum. Wiecie, jaki zawrót w głowach sprawia u nas teatr codziennie, chociaż w nim błyszcza tylko panie Czaki i Marczello; wiecie, jakich dostaliśmy przypadło-

ści podczas pobytu pani Modrzejewskiej; domyslać się po wybuchach zapalów w Wiedniu i Odesie, do czego by nas doprowadziła sama S. Bernard; no, a teraz wyobraźcie sobie, co będzie, gdy wszystkie te meteory razem się zbiegną, gdy nie tylko panna Marczello stanie obok p. Czaki, ale Sara Bernard obok Modrzejewskiej! Mrużę oczy na samą myśl skupienia się tylu światła, a w mózgu wiruje mi piekielny taniec wrażeń teatralnej dżumy. Już widzę krytyków, przeglądających ponownie Saint-Beuve'a i Lewesa, a nawet Lessinga i kreślących w duszy „paralele“; już widzę cecerów, składających zapasy zwykle używanych wyrażań zachwytych, jak: boska, pogłębiona itp.; już widzę potłamane żebra zwyciężonych przy kasie i dumne miny zwycięzców, zamawiających u Szustra lub Mestenhauzera litery wizytowe z napisem: N. N. abonent krzesła na przedstawienie Sary Bernard. Czy p. J. Jeleński nie wykaże przytem, że żydzi zagarnęli wszystkie bilety a nam się nie dostało; czy pełna nadziei redakcyja nie poroni ze wzruszenia przed czasem *Słowa*; czy konsystorz nie otrzyma prośb o rozwody i separacye z powodu niedostarczenia przez mężów żonom ani jednego kuponu do łoży; czy nareszcie gościnne występy artystek nie popsuja ruchu tramwajów, nie opóźnią kanalizacyi, kolei dęblinsko-dąbrowskiej i towarzystw pomocy naukowej dla uczniów gimnazjalnych—tego, naturalnie, przepowiedzieć nie mogę. To tylko pewna, że one głębiej oddziałają na życie nasze, niż samorząd miejski (bo w nim jedna tylko może być głowa) i obdarczenie ziemią czynszowników. Skoro wszakże nieszczęścia odwrócić nie można, rad bym przynajmniej uczuciom sabeistów teatralnych nadać właściwy kierunek. Wiadomo z *Pięknej Heleny*, że Parys ofiarował jabłko bogini najurodzawszej. Nie wchodziłbym w jego prawa i podejmował drażliwego sądu między niewiastami, gdyby one nie występowały publicznie i gdyby oceniany przez Parysa przymiot nie był koniecznym warunkiem artystki — zwłaszcza grywającej *Cudzoziemkę*, *Damę kameliową* i *Frou-Frou*. Brzydka aktorka jest takim samem *contradictio in adjecto*, jak np. dziobata Wenus, jak ptak bez skrzydeł a mędrzec bez rozumu. Otóż mam honor oświadczyć, że według mego gustu, p. H. Modrzejewska jest (jako artystka) piękna, a p. S. Bernard tak brzydka, że Parys nie ofiarowałby jej nawet leśnego jabłka. Kiedy przechwala się na scenie, że samym swym widokiem zabija mężczyzn, pojmuję to zawsze w znaczeniu dosłownem i szczerze żałuję przystojnego księcia, który musi się kochać w takiej *cudzoziemce*. Ja na jego miejscu poprostu uciekłbym ze sceny i wytoczył proces dyrekcji teatrów za to, że mnie naraziła na estetyczne przerażenie. Nie pojmuję nawet, jak kobieta, posiadająca dwa tylko wymiary płaszczyzny i rysy twarzy silnym prognatyzmem wykształwione, może udawać czarodziejkę. Wprawdzie umiejętność rzeźbienia, chodzenie w męskich spodniach, puszczenie się balonem, sypanie w trumnie i telegrafowanie o każdej swej awanturze do *Figara* — coś znaczy, ale ja wolę zdolności, odwagę i energię Modrzejewskiej, która także miewała swoje *Figara* w Warszawie, ale w nich nie reklamowała się sama. A gdy dodam, że i gra jej lepiej mi się podoba, to pojmiecie, dla czego wolalbym, ażeby opisany w *Kuryerze Codziennym* nieunikat sprzedał był starożytne biurko dla kupienia sobie biletów na występy naszej artystki, niż francuskiej. Nie myślę wszakże tym wywodem tamować nikomu wolnej woli, przeszkadzać w łamaniu sobie i innym żeber przy kasie; a nawet gdyby dr. Płaskowski i Rothe ucieszyli się skutkami pobytu artystek w Warszawie, ja z obowiązku tolerancyi nad nimi nie zapłacę. Trudno, bywają gorsze zarazy...

Jeżeli kto nie będzie na przedstawieniach Sary Bernard, to być na nich powinien p. Wilhelm Landau, który świeżo pomścił się sądownie na złodziejach 105,200 rs. Tyle skradzionych pieniędzy odzyskać, niewinnie oskarżonego o kradzież za posądzanie i pięciomiesięczną kożę z synem nie wynagrodzić i jeszcze wbrew ogłoszeniu w *Kurierze Warsz.* zamiast 10,000 rs. za odkrycie winowajców dać 200 — no, po tak szczęśliwej operacji można sobie pohlądać i kupić bilet na występy nawet obu artystek. Jak się takie interesy robi? może spytasz czytelniku. Odpowiem ci sprawozdaniem sądownym. Po wyznaczeniu w pismach 10,000 nagrody za odnalezienie złodziejów, p. W. Landau odebrał list od niejakej Stawiarskiej, która za powyższą sumę zobowiązała się dostarczyć mu klucza do tajemnicy. Poszkodowany zgodził się, Stawiarska wskazuje winnych i otrzymuje... 200 rs., starą suknię i pierścionek. Niedosć tego. Zeznaje ona w sądzie: p. Landau kazał przynieść trzy butelki wina — którym jej dawniej nie częstował, gdy przychodziła do prasowania — zakreśliło mi się w głowie, wtedy pan proponuje, abym podpisała jakąś kartkę i przyrzeka, że wypłaci mi całą sumę z owych 10,000 rs., jaka pozostanie „po opłaceniu sądu i policyi“. Jak wiadomo, pozostało mu... rs. 200, stara suknia i pierścionek. Skąd się wzięła taka dziwna reszta, nie znając regul poprawnego odejmowania, powiedzieć nie umiem. Wiem tylko, że jeśli komu znowu ukradną 150,000 rs., ten ktoś ogłosi w pismach, że za wykrycie winowajców da 10,000, przysła Stawiarska powie: znam ja wasze obiecaniki — nie głupiam. Jakkolwiek nie czuję żadnej troskliwości o kasę p. Landaua, i jaby m wolak, ażeby się była znalazła jakaś pocziwa kobiecina, któraby wydała złodziejów bezinteresownie. Skoro wszakże znalazła się inna, pragnąca korzystać z nagrody, p. Landau nie powinien był uciekać się do... trzech butelek wina, lecz wypłacić wszystko, co przyrzekł. Przebaczyłbym mu wiarołomstwo tylko wtedy, gdyby tak zrobił i rzekł: prawda, obiecałem 10,000 rs. za wykrycie złodziejów, ale ponieważ sądzę, że 200 rs. wystarczy Stawiarskiej za fitygę, przeto 9,800 rs. ofiaruję biednym mojego miasta, wobec którego nie okazałem się dotąd nigdy dobroczyńcą. To byłoby *ehrlich*... ale wykreślić się kawałem i to wcale pospolitym... fe! na honor kupiecki fe!

Ponieważ p. Landau jest widocznie człowiekiem nader oszczędnym i może nawet nie zaabonował krzesła na przedstawienia p. Modrzejewskiej, więc radzę mu kupić tani bilet na jedną z dwu serj odczytów — w Resursie kupieckiej lub Ratuszu. W pierwszym mówią prelegenci o naukach przyrodniczych, w drugiej o sztukach, ale naturalnie nie o sztukach bankierskich, lecz o starem budownictwie, rzeźbie i t. p. Ktoś także ma wykladać „o opinii publicznej“, co także będzie pouczającym. Ja zaś pozwolę sobie przytoczyć następujące zlat dzieciennych wspomnienie. Mielśmy w gimnazjum bardzo surowego nauczyciela matematyki. Pewnego razu wywołuje on do tablicy małego Ieka F. i dyktuje mu zagadnienie: „jeżeli jedna geś kosztuje 50 groszy, to ile... — „Przepraszam p. profesora — mówi drżący z bojaźni Iek, przerwawszy pisanie — gdzie można dostać takie tanie geśi? — „To lekoya smarkaczu, nie targ“ — krzyknął nauczyciel, podczas gdy my buchaliśmy śmiechem. Biedny Iek! ani uroczystość lekeyi, ani zaleknienie przed profesorem, ani obowiązek pomyślenia nad zadaniem — nie nie zdołało w nim stłumić chęci zarobku na tanio kupionych geśiach.

Ponieważ p. H. Barycki obdarzył mnie już kilkakrotnie zawiadomieniem o „nowo-wynalezionej, jednokołowej, patentowanej *Jaskółce*“, więc muszę o niej wspomnieć; ponieważ zaś sam nie umiem ocenić, więc

wyręczę się sądem „generalnego i wyłączonego sprzedawcy *Jaskółek* na całą Europę, Azję i Amerykę“, zwłaszcza że on w określeniu wartości tego swego ptaszka okazał niezwykłą skromność. Jestto — według niego — „jeden z najświetniejszych, najpraktyczniejszych, najwięcej wygód i pożytku zapewniających społeczeństwu wynalazków ostatnich dni“, jest to „pomysł, niemający dotąd i niemający mieć w przyszłości równego sobie w danym kierunku“. Jeśli nie wiesz, czy domyśliłbyś się czytelniku, że owym wielkim, genialnym wynalazkiem jest dziwaczny, z kilku różnej wielkości kół złożony wózek? „Jeneralny sprzedawca“ zapewnia, że wózek ów czyni konia i jezdca „nieśmiertelnymi“. Jak to dobrze! Dotąd sława była u nas łatwą, a teraz będzie jeszcze łatwiejszą. Dość przejechać się raz na „Jaskółce“, ażeby zyskać „nieśmiertelność“. No, panowie zapoznani, dalej na kozioł!

P. W. Landau nie potrzebuje „Jaskółki“, on i bez niej zostanie sławnym, zwłaszcza jeśli prawdą jest, co donosi *Gazeta Polska*, że niewinnie trzymany w więzieniu Szmerek i Stawiarska, zawiodłszy się na hojności szan. bankiera, wytoczyli mu procesy. Ach, gdyby tak sąd przyznał powodom pretensy! Pewnie p. Landau już nigdy nie okazałby się tak wspaniałomyślnym w... ogłoszeniach.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Rozboje. — Nasza dziczyzna. — Bezsilność środków dotychczasowych. — Oświata i straż bezpieczeństwa. — Co się dzieje z zapisem Sierakowskiej? — Co u nas się robi z ostatnią wolą dobroczyńców kraju. — Gorzelnie czekające na akcyzników. — Oplaka nad dziećmi w fabrykach i kredyt ludowy. — Niegrzeczni chłopci.

Jak latem pożary, tak obecnie rozboje wplotły się do naszego życia prowincjonalnego nicią powszednią. Już nie jednostka napada jednostkę, ale całe bandy rabusiów uderzają na dwory i chaty z bronią w rękę. Czasami przypominają nam się okrainy amerykańskie, czasami tatarskie zagony — a zawsze po tych rzeziach i łupiestwach pozostaje smutek w sercu. Barbarzyńskim, dzikim jesteśmy jeszcze narodem, albo też śród nas tkwią żywioly, nieprzetopione dotąd w ogniu cywilizacji europejskiej. Doprawdy, porzucmy już raz przechwałki o naszej wyjątkowej pocziwości i posłannictwie odrodzenia innych ludów, a zajmijmy się odradzeniem siebie. W umoralnianiu jednego ludu niedostatecznym okazuje się ksiądz, w umoralnianiu drugiego — talmud, trzeba wyjść poza środki dotąd praktykowane, leczyc społeczeństwo szkołą, nie bigoteryjnemi, ale uczyniającymi wydawnictwami — słowem oświatą. Do niej należy dodać to, bez czego zbrodnia zawsze swobodnie gospodarować będzie — czujną i rozumną straż bezpieczeństwa publicznego.

W chwili, gdy potrzeba oświaty i umoralniających na lud wpływów tak dotkliwie uczuć się daje, *Korespondent Płocki* opowiada nam smutne, gorszące dzieje zapisu Sierakowskiej. Zaczyna ta obywatelka, schodząc ze świata bezpotomnie, przeznaczyła cały swój olbrzymi majątek na cele użyteczności publicznej: 20,000 rs. na kościół w Chełmicy; 36,000 rs. na 12 stypendyów; 9,000 rs. na szpital w Włocławku, Płocku i Lipnie; 4,940 rs. dla rozdania ubogim w czasienabożeństwa załobnego, domy w Ciechocinku na powiększenie szpitala miejscowego; inne nieruchomości w sumie 325,000 rs., oraz gotowizna na pensye dożywotnie dla kilkunastu osób; resztę zaś „na niesienie pomocy i zasiłków

cierpiącej ludzkości, jak również podupadłym obywatelom przez częściowe wypożyczenie na mały procent rzemieślnikom początkującym, niemogącym nadal dać sobie rady.“ W każdym innym kraju ostatnia wola zmarłej obywatelki byłaby spełnioną i żaden chciwy kuzynek wobec tak wyraźnego jej postanowienia nie śmiałby robić na nią zamachu i kruczkami prawnymi wydierać to społeczeństwu, comu wspałałomyślnie i dobrowolnie zostało ofiarowanem. U nas... u nas, chlubiących się tradycją, patryarchalnością i przywiązaniem do kraju... żądni niezapracowanych tysięcy ków krewniaczkowie założyli protest przeciwko ważności zapisu i jego wykonanie zawiesili. Nie zastanawiam się nad tym faktem szczegółowej, gdyż ma on być przedmiotem osobnego w przyszłym nrze *Prawdy* artykułu.

Zadnemu wszakże z kolegów nie pozwolę sobie wydrzeć przyjemności uczczenia akcyzników w Rawskim, którzy zabawiwszy się gdzieś, nie mogli dotąd — jak donosi *Kur. Codzienny* — przybyć dla spełnienia swych obowiązków i na których gorzelnie z rozpoczęciem pracy czekają już 8 tygodni. Co będzie, gdy panowie akcyznicy wcale tej zimy nie przyjadą? Bardzo rzecz prosta, będące pod ich dozorem gorzelnie wcale się nie ruszą. Widziałem na własne oczy ojca, który zadeklarowawszy wątpliwych siedem bez atu, nie ruszył się z miejsca, gdy dziecko wylało sobie na twarz szklankę gorącej herbaty. Gdyby ów ojciec był urzędnikiem akcyznym i przez kilka tygodni z rządu miewał 6, 7, 8 lub 9 bez atu, sądzicie, że pospieszylby do gorzelni?

Jeżeli gazety rosyjskie nie improwizują „reform“, jak to zwykle czynią, doczekamy się dwu nowych ustaw, z których jedna rozciągnie opiekę nad dziećmi pracującymi w fabrykach a druga nad kredytem włościańskim. Na tę ostatnią wiadomość zwracam uwagę p. L. Z., który do naszej redakcyi nadesłał obszerny akt oskarżenia własności mniejszej, wyszukującej większą. Jakkolwiek nie myślę przeczyć faktom w tej filipice podanym a nawet odmawiać narzekaniu korespondenta (zwłaszcza na tamy w poprawie systemu gospodarczego) pewnej słuszności, zdaje mi się wszakże, że głoszenie tego rodzaju skargi jest zbyt częstym od czasu, jak ją dzieweczynka Syrokomli tak pięknie wytłomaczyła *laice*.

Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie, A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany, Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie By pracowali na pany.

Brzydkie, brudne, pijane, czysto jak niedzarze, W poszarpanych siermięgach ledwie włóczę ducha, Lecz sami sobie winni, to bozia ich karze, Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica, A chłopów każdy laje, każdy kijem kropi; Doprawdy, że aż szkoda... skąd taka różnica? Niegrzeczni muszą być chłopci!...

Tak, niegrzeczni.

Asan.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 8 grudnia.

Burza w sejmie niemieckim uspokoiła się. Ważnym jej skutkiem — oprócz odrzucenia funduszu na Radę Ekonomiczną i zatwierdzenia etatu — jest nowe małżeństwo ks. Bismarka z partją środkową (centrum) i prawdopodobne tego związku potomstwo. Kanclerz niemiecki przed za-

warcie go wypowiadał się, że ustawę o małżeństwie cywilnem narzucili mu ministeryalni koledzy, że t. z. walki kulturalnej nie pragnie prowadzić dalej, że lubi... konstytucję bez parlamentu, spokój bez oporu i rozwój państwa bez idei postępowych. Wobec tych oświadczeń spodziewać się można, że na zbliżającym się sejmie pruskim ustawy majowe, wymierzone przeciw duchowieństwu katolickiemu, zostaną zniezione lub co najmniej złagodzone. P. Windhorst bowiem za piękne słówka nie będzie ze swą drużyną galopował za karetą ks. Bismarka i za tę usługę każe sobie zapłacić ustępstwami dla katolików. Dla katolików? Szczerze mówiąc nie o nich tu chodzi, ale o ich głowę, którą Niemcy wabią do siebie. Trudno pojąć, jaka rachubą tkwi w nagłym i zgodnym gruchaniu organów urzędowych do papieża, który dotąd był dla nich przedmiotem ustawicznych napastliwych. Możliwość przeprowadzenia się Leona XIII do Niemiec jest rozbieżną tak poważnie i z taką wiarą, jak gdyby termin komornego Kuryi w Rzymie jutro upływał. Co za czasy, co za czasy!

Daleko sroższa niż w Berlinie zerwała się burza w Wiedniu. Lewica chcąc w rozpacz odegrać swoją straconą przewagę, rozpoczęła znów stawiać na ryzykowne karty. Zaatakowano jednego ministra (Dunajewskiego) o Länderbank, drugiego (Praxa) o tak zwane obiektywne postępowanie w procesach prawnych. Dunajewski odparł pierwsze uderzenie szczęśliwie, czy wytrzyma dalsze, nie wiemy. Mniej zręcznym okazał się Praxa, który za kilka obrażających słów o mało nie uległ parlamentarnej naganie. O całym tym wicherze niemieckim osobny sprawozdawca, pomówi niedługo, my więc zaznaczymy tylko główne punkta.

Wiedeń zawrzał na drugim punkcie. Mowa tronowa rumuńska zaznaczywszy zbyt dobitnie pretensje swoje do Dunaju tak obraziła rząd austriacki, że ten polecił swojemu przedstawicielowi w Bukareszcie zerwać dyplomatyczne stosunki. Dotąd jeszcze spór się nie złagodził, nieczem jednak wielkiemu Europie nie grozi.

We Francji nowy rząd posuwa się energicznie i gładko. Gambetta, uzyskawszy dalszy kredyt na wydatki wojenne w Afryce, znów zapisał sobie poważny tryumf. Inni ministrowie, przygotowujący się podobno do rozprawy z klerem, nie zdążyli jeszcze nabieć swych dział i okopać szanów. Naučení doświadczeniem ks. Bismarka, biorą się do walki ostrożniej.

Z innych stron świata nie dochodzą wieści, zasługujące na podznanie. Ta chyba jedna, istotnie wymowna, że Mikado japoński dał swemu narodowi... konstytucję.

LIST OTWARTY

do szanownych członków Komitetu Redakcyjnego
działu Jana Kochanowskiego.

Nie utrudzałbym Szanownej Redakcji prośbą moją o zamieszczenie listu tego w *Prawdzie*, gdyby nie to, iż uważam za rzecz stosowną przemówić publicznie w dość ważnej sprawie, gdy prywatne usiłowania moje nie odnoszą pożądanego skutku.

Dosyć już dawno, rok przeszło, jeśli się nie mylę, podnosiłem, w rozmowie ze współtowarzyszami opracowania pism Kochanowskiego, parę pytań do takowego się odnoszących; pisałem później o nich do pana prof. Przyborowskiego. Ustnie pan Löwenfeld przyklasnął propozycjom moim; listownie zaś p. Przyborowski wyraził też zgodę i zawiadomił mię, że i sam jedną z rad moich już wnosil; ale jakoś nie widać,

aby Komitet do uwag tych chciał się przychylić; a co do myśli Słownika (o czem niżej), pisze mi p. Przyborowski, że większość Komitetu nawet była jej przeciwną.

Uciekam się tedy do pośrednictwa druku, aby uwagi moje szerszym kołom dać poznać i jeżeliby znalazły poparcie ludzi kompetentnych, skłonić może Komitet do ponownego ich rozpatrzenia. Ma się rozumieć, iż nie nastawałbym na to, gdybym nie był przekonany o ich słuszności.

Wnioski moje trzy są następujące:

Naprzód. Komitet w piśmie p. t. *Czynności przygotowawcze do pamiątkowego wydania dzieł Jana Kochanowskiego* oznajmuje, iż „każdy utwór... opatrzone zostaną u dołu przypiskami, obejmującymi objaśnienia szczególnych ustępów, zwrotów i wyrazów, na wzór wydań starożytnych klasyków“ i t. d. Później zaś pan Pleniewicz podał próbkę takiego opracowania „Muzy“ Kochanowskiego „podług zasad, przyjętych przez Komitet do wydawnictwa pomnikowego dzieł poety“ w nr. 238 roku 1880 *Tygodnika Ilustrowanego*.

Otóż ten sposób opracowania, o ile dotyczy wyjaśniania zwrotów i wyrazów, wydaje mi się nieuzasadnionym. Rzecz jasna bowiem, że różni współpracownicy w różnych miejscach spotykając te same zwroty i wyrazy, objaśniać je będą musieli każdy raz na nowo i może nie zawsze jednostajnie. Przypuśćmy np., że w jednym utworze wytłumaczyć trzeba będzie taki zwrot jak: „nie prawieś z ojczyzny swej w szczęsną chwilę wzięta;“ w innych piśmach Kochanowskiego nie raz i nie dwa podobne użycie zwrotu *nie prawie* spotykamy. Więc w każdym miejscu, gdzie ten sposób mówienia się znajduje, każdy komentator będzie musiał na własną rękę objaśniać. To samo się stosuje i do mnóstwa innych zwrotów i wyrazów; są słowa, dzisiaj nieużywane i wielkiej części nawet ukształconszej publiczności nieznane, które dajmy na to trzydzieści razy w dziełach Kochanowskiego się trafiają; więc w „pomnikowym“ ich wydaniu spotkamy trzydzieści objaśnień jednego i tego samego wyrazu!

Zaradzić temu można w bardzo łatwy, praktyczny i nieraz już do innych autorów stosowany sposób: ułożeniem „Słownika do pism Kochanowskiego“, jak są słowniki do dzieł Homera, Sofoklesa, Sallustiusza, Horacego i wielu innych. W słowniku takim pod każdym wyrazem wskazałyby należało gdzie, w jakim utworze i w którym jego wierszu, w jakim związku i znaczeniu dany wyraz jest użyty; toż samo uczyniłyby należało i ze zwrotami. Słownik ten dodałoby się do obu wydań i ogłosiłoby się oddzielnie. Byłby to z jednej strony łatwy i jasny komentarz językowy do dzieł poety, a z drugiej nieoceniony przyczynek do słownictwa i dziejów języka naszego. Ułożenie takiego słownika prócz tego oszczędziłoby znacznie pracy komentatorom i zmniejszyłoby może o połowę objętość dzieła, a zatem i cenę jego. Zresztą, każdy to pojmuje, wyraz objaśniony w słowniku licznymi przykładami, we wszystkich swych znaczeniach, oileż jaśniejszym się staje dla czytającego od jeden raz, pod pewnym jedynym kątem oglądanego.

Powtórę. Wyżej wymieniona odezwa p. t. *Czynności przygotowawcze* zapowiada dwa wydania, większe i mniejsze popularne. Z tego ostatniego orzeczenia wnosić należy, iż większe będzie dla ukształconszych. Otóż rodzi się pytanie: kto więcej potrzebuje objaśnień historycznych, mitologicznych, językowych i t. p., czy czytelnik dzieł „popularnych“, czy „nie popularnych?“ Oczywiście im niższy jest poziom umysłowy czytającego, tem więcej potrzebuje on komentarzy, aby zrozumieć poetę przed trzystu laty zmarłego, którego życie upłynęło wśród ludzi i warunków zgoła niepodobnych do dzisiejszych, który myślał i mówił dosyć różną od dzisiejszej mo-

wą. Zdaje się przeto, iż wszelkie objaśnienia najwięcej dla wydania popularnego przydaćby się powinny.

W zapowiedzi Komitetu jednakże spotykamy coś zupełnie przeciwnego: większe wydanie ma być wzbogacone wszelkiego rodzaju komentarzami, a mniejsze zupełnie ich pozbawione.

Myślałbym, iż powinno być właśnie na odwrót: wydanie większe, przeznaczone dla literatów i ludzi wyższego ukształcenia, powinno mieć tylko objaśnienia specjalnie do Kochanowskiego i jego stosunków się odnoszące; mitologiczne, historyczne, starożytnicze i t. p. pozostawićby należało własnej erudycji lub zaradności czytelnika; podobnież i językowe, wyjawsz tylko zdarzenia wyjątkowe: niezwykłą rzadkość lub trudność wyrazu albo zwrotu, rozmaistość kodeksów, błędy drukarskie sens zmieniające i t. d. Przeciwnie zaś, wszystkie promienie egzegetyczne skupićby należało na wydanie popularne, boć tylko jego czytelnicy potrzebowaliby nieustannej wskazówki i wielolicznych komentarzy.

Po trzecie. Komitet zamierza użyć pisoni niezwyklej do objaśnień większego i do całego mniejszego wydania. Nietu miejsce wchodzić w rozprawy o jej zaletach lub przywarach. Zdawałoby się mnie jednak, iż skoro wydanie wniejsze ma być popularnem, to i pisoni w niem należałoby użyć „popularnej“, gdyż co do ortografii naszej *lis adhuc sub iudice est*, więc może najlepiej tymczasem, nim się sprawa stanowczo nie rozstrzygnie (jeżeli może być o tem mowa), trzymać się wulgaty, czyli pisoni utartej, potocznej; bo i ona przecie jest wyrobem cywilizacyjnym, z którym raptownie zrywać nie wypada.

Jan Karłowicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Goniec urzędowy ogłosił rozporządzenie, aby w miastach, prowincjonalnych, gdzie niema komitetu cenzury, obowiązki ich spełniali wicegubernatorowie.

— Dr. St. Markiewicz miał szczęśliwą myśl, poruszając projekt urzędzenia kolonii wiejskich letnich dla ubogich dzieci miejskich. Z wielu stron — zamożniejsi obywatele ziemscy oświadczają gotowość przyjmowania do siebie na lato słabowitych dzieci warszawskich, zapewniając im dozór i żywność. W r. 1882 będzie już może 7 do 8 takich stacyj. Najstosowniejsze do tego są wsie, położone blisko kolej żelaznych. Kilka izb, nabił, warzywo, słoma do sienników i jakaś nadzorczyńni np. żona oficjalisty dworskiego, oto wszystko, czego potrzeba do urzędzenia takiej kolonii.

— Według dokonanych obecnie obliczeń, samobójstw w Królestwie Polskiem, oprócz Warszawy, było w 1879 r. 143, z tego mężczyzn 108, reszta kobiety.

Nauki. Prof. Haeckel, znany darwinista, wykładający zoologię w uniwersytecie jenajskim, przybył 21 listopada do miasta Colombo na wyspie Ceylon, gdzie ma pozostać w celach badań naukowych.

— Z szeregu odczytów przyrodniczych odbyły się następujące: profesora Trejdosiewicza „O okresie węglowym“, p. Znatowicza „Węgiel w przyrodzie nieożywionej“, Milicera „Azotowe związki węgla“ i Lepperta „O sztucznem otrzymywaniu związków organicznych.“

— Zbiór numizmatów, skradziony z warszawskiej biblioteki Zamojskich, został w części odnaleziony.

— Czytelnia uczniów Instytutu Techniczno-przemysłowego w Krakowie, istniejąca od r. 1878, miała w r. b. 38 członków, 270 zlr. dochodu rocznego, a 260 zlr. rozchodu.

Szkoły. W ministerstwie oświaty zapadła decyzja otworzenia przy wszystkich gimnazjach i progimnazjach w Królestwie Polskiem klas równoległych. Urzeczywistnienie tej niezmiernie ważnej reformy zależy jeszcze od ministerstwa finansów, które zatwierdzić ma wyasygnowanie potrzebnych na to funduszy.

— W Instytucie Górniczym w Petersburgu wprowadzono obecnie dla wszystkich studentów uczęszczanie obowiązkowe na prelekcje i półroczne repetycje.

— W ministerstwie oświaty w Petersburgu przygotowano budżet na rok 1882. Wszystkie wydatki wynoszą ogółem rs. 17,917,670, czyli w porównaniu z r. b. (rs. 17,382,870) o rs. 534,800 więcej. Na owo zwiększenie sumy wydatków wpłynęło głównie oddanie pod zarząd ministerstwa oświaty niektórych zakładów naukowych, zależnych dotąd od ministerstwa finansów. Wykazana powyżej ogólna suma rozchodu rozpada się na działy następujące: na utrzymanie uniwersytetów rs. 2,509,844, zakładów naukowych średnich rs. 5,665,266, szkół realnych rs. 1,768,793, szkół mniejszych i powiatowych rs. 1,374,370, szkół elementarnych i parafialnych rs. 254,623, szkół ludowych rs. 1,685,997; w cyfrze tej mieści się suma rs. 589,249 przeznaczona na utrzymanie dyrekcji i inspekcji szkół ludowych, dalej na utrzymanie instytucji historyczno-filologicznych wraz z znajdującymi się przy nich gimnazjami rs. 250,031, na utrzymanie instytutów nauczycielskich, seminarjów i szkół rs. 1,096,051. Wydatki na instytucje naukowe wynoszą w r. przyszłym rs. 634,643, przy czem na utrzymanie akademii nauk przeznaczono rs. 295,266, obserwatoryjów głównego mikołajewskiego i wileńskiego rs. 106,126 i na utrzymanie obserwatoryjów meteorologicznych i magnetycznych powołskiego i pekluskiego rs. 67,302. Wreszcie na pensje dla ministra i jego towarzysza asygnowano rs. 28,910 a na zarząd główny rs. 191,519. Co się tyczy dochodu czystego, spodziewanego w roku przyszłym, to takowy wynieść ma ogółem sumę rs. 2,185,547.

Przemysł, handel i komunikacye. *Goniec urzędowy* ogłosił rozkaz cesaraki do Rady Państwa, dotyczący wybitcia monety brzęczącej 48-ej próby na sumę 6,000,000 rs.

— Na kasy pożyczkowe rzemieślnicze w Warszawie p. Władysław Zbyszewski, wice-prezes Banku luduńsko-łoańskiego dał rs. 2,000. Wszystkie fundusze złożone dotąd na pomienione kasy rzemieślnicze wynoszą ogółem rs. 21,217 kop. 18 1/2.

— Starania presea Banku Polskiego o pozwolenie rządu powiększenia kapitału zakładowego tej instytucji kredytowej nie odniosły skutku.

Konkurs. Komitet wydawniczy dzieł Jana Kochanowskiego, pragnąc uczcić pamięć wieszczą z powodu zbliżającej się trzzechsetnej jego zgonu rocznicy przedstawieniem scenicznem *Odprawy posłów greckich*, z któregoby osiągnięty dochód fundusze nakładowe powiększył, postanowił zarazem ogłosić konkurs na poemat, przeznaczony do deklamacji w czasie widowiska, wyznaczając jako nagrodę rubli sto, oraz asygnację na ozdobny egzemplarz wydawnictwa, opatrzonej imienną dedykacją dla autora utworu, za najlepszy przez komitet konkursowy uznanego. Poemat uwydatnić miał: „główniejsze cechy charakteru poety, jako człowieka i twórcy, oraz przedstawić ważniejsze jego życia koleje w domu, w rodzinie i w kraju.“ Poemat taki, zaszczycony pierwszą nagrodą, miał się stać własnością komitetu wydawniczego; utwór zaś drugi, uznany za najlepszy po premiowanym, otrzymać asygnację na egzemplarz wydania ozdobnego, również z dedykacją imienną, oraz z pozostawieniem autorowi prawa własności. Na sędziów konkursu zaproszono pp. L. Janike, K. Kaszewskiego, J. Królikowskiego, A. Pietkiewicza i R. Pleniewicza. Nadesłano utworów 29, z tych trzy zostały wyłączone z powodu niedopełnienia warunków, z pozostałych zaś 26 wybrano trzy.

Pierwszy z godłem: „Szczęśliwy, co wśród zawodu legł świetnym wiedzion zapalem“ najlepiej odpowiadał warunkom konkursu; drugi z dewizą „Sub rosa“ nie wyrażał wszystkich stron działalności poety, ale posiadał największą wartość artystyczną; trzeci — „Ad astra“ odznaczał się również pięknościami poetycznymi. Ponieważ na główną nagrodę zasługiwały (choć z różnych względów) dwa pierwsze utwory, sędziowie zatem, po porozumieniu się z komitetem wydawniczym, przyznali ją obu (po rs. 100), trzeciemu zaś akcesy. Autorem pierwszego okazał się Stefan z Opakówka, drugiego zaś i trzeciego p. M. Konopnicka.

Sztuki piękne. Postanowiono urządzić w Paryżu w r. 1882 Wystawę sztuk pięknych zastosowanych do rzemiosł.

— W Petersburgu budzi ogólne zajęcie świeżo wystawiony na widok publiczny nowy obraz malarza Suchorowskiego, przedstawiający Nanę. Obraz ten

przedstawia piękną nagą kobietę, leżącą na otomance okrytej skórą tygrysa.

— Na wystawę Tow. zach. szt. pięknych przybyły następujące nowości: Godeckiego dwa popiersia dzieci i portret gipsowy autora „Czartowskiej ławy“, Horowica portret damy, Łaszczyńskiego Wybrzeże Sorrento, Maleszewskiego „Ecce homo“, Tombińskiego Portret Modrzejewskiej (medalion drewniany), oraz Jana Wojdy Portret Lelewela (z gipsu).

— W Charkowie odebrała sobie życie przez otrucie się fosforem z zapalek pierwszorzędną artystką dramatyczną teatru miejscowego p. Kadunn.

Bibliografia polska. Kraszewski, *Szalona*, powieść w dwu tomach, Warszawa, T. Paprocki i Sp. Jest to drugie wydanie z *Ateneum*.

— *Ateneum i Biblioteka Warszawska*, zeszyt za gruzdzień.

— *Słownika Geograficznego* zeszyt 24, zawierający artykuły od *Gruździe* do *Głack*, oraz spis powiatów i współpracowników.

— J. Wołowski *Pod wiejskim dachem*, komedia w 5 aktach, Warszawa.

— J. W. Draper *Dzieje stosunków wiary do rozumu*, tłum. J. Karłowicz, Warszawa, Polak.

— J. Szujski *Opowiadania i rostrząsania historyczne*, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— W. Przyborowski, *Bitwa pod Raszynem*, powieść historyczna dla młodzieży, z ilustracyami, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— L. Jacoillot, *Tajemnice Afryki*, z 32 ilustracyami, tłum. K. Jurkiewicz, Warszawa, Gebethner i Wolff. O dziełach tych pomówimy szczegółowo.

— Prof. Smolka wydał w Krakowie dzieło p. t. *Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiej*.

— Pod tytułem *Świat ilustrowany* zaczęło w wledniu wychodzić od 1 października pismo polskie pod redakcją p. Andrzeja Odrowąża. Pismo to zowie się na okładce „pismem familijnem ku zabawie i nauce dla wszystkich stanów“, składa się jednak wyłącznie z samych powieści i noweli.

Teatr. Kierownictwo teatru polskiego w Poznaniu objął zgodnie z wolą akcyonaryuszów p. Lucyan Kościelecki. P. Doroszyński, usunąwszy się od tych obowiązków, udaje się z częścią swej dawnej trupy do Kalisza. Ponieważ kontrakt p. Doroszyńskiego nie był jeszcze upłynął, przeto spółka teatru w Poznaniu wytacza mu proces.

— P. Deryng, który na pewien czas zawiesił wykłady w swej szkole dramatycznej i powraca do Warszawy, na nowo je rozpocznie. W ostatnim czasie dawał przedstawienia dramatyczne w Kaliszu, lecz zrażony niepowodzeniem rozwiązał swe towarzystwo.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Szcz. Do historyi literatury polskiej praca Kulickowskiego, Rycharskiego, lub kończąca się w druku Spasowicza. Do dziejów — Bobrzyński lub Szujski

P. A. F. w *Wysokiem M.* Odebraliśmy.

P. K. W. w *Kaliszu*. Dobrze, aby nie o teatrze i straży ogniowej.

P. L. M. w P. Brak przedmiotów szerszego znaczenia, na które by się energia myśli zużyć mogła, powoduje tam tedrobne szermierki. Gdy koty nie łapią myszy, gryzą się z sobą.

— P. Józefie B. w *Kijowie*. Wierzmy, że tak być mogło, że tak było, ale czyż to racya, ażeby fakt zwykły przelewać w powieść?

P. R. St. Nie.

P. Alanowi. Nadętość nie jest wzniosłością.

P. Michałowi E. Widocznie jesteś Pan od kraju bardzo daleko, skoro przypuściłeś, że to jest możliwem.

P. St. Kir. w *Warsz.* Piszą to, co należy robić, a nie robią tego, co należy pisać. Wyczerpane.

OGŁOSZENIA.

HISTORIA FILOZOFII

materyalistycznej

F. A. LANGE.

Dziewiąty zeszyt

opuścił prasę.

Treść: Darwinizm i Teleologia (dokończenie). Rozdział III „Nauki przyrodnicze“ (d. c.). „Człowiek i dusza.“ 1. Stanowisko człowieka do świata zwierzęcego. 2. Mózg i dusza. 3. Psychologia przyrodnicza. 4. Fizjologia organów zmysłowych i świat jako wyobrażenie. Rozdział IV „Materyalizm etyczny i Religia.“ 1. Ekonomia polityczna i dogmatyka egolizmu.

3-3

Nakładem wydawnictwa

Bernarda Lesmana

ulica Orła nr. 2,

tylko co opuścił prasę miniaturowy zbiorek wyborowych poezji polskich p. t.

LIRA POLSKA

książeczka ta jest formatu kieszonkowego, wydana ozdobnie na papierze welnowym.

Cena kop. 30.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

2-3

KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płacą rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze **PRAWDY**. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „**PRAWDY**“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Główne prądy literatury XIX w.

BRANDESA

Zeszyt pierwszy

nowoprzybyli abonenci nasi nabyć mogą za kop. 50.

Sprostowanie. W nrze poprzednim str. 578, szp. 2, w art. „Stracony nakład“ w. 8 zam. *przeszło* czyt *blisko*, str. 579, szp. 3. w. 27 zam. *było* czyt. *była*.